

TYFLOŚWIAT



**Głośniki Wi-Fi
a technologia AirPlay
i Google Cast**

**Gra planszowa
jako ukłon w stronę
niewidomych**

**Czy da się po ciemku zająrzeć w duszę?
Czyli o pracy niewidomych psychologów**

TYFLOŚWIAT

KWARTALNIK

NR 3 (52) 2021

WYDAWCA



Fundacja Instytut Rozwoju Regionalnego
ul. Raławicka 58, 30-017 Kraków
<http://www.firr.org.pl>



Utilitia sp. z o.o.
ul. Raławicka 58, 30-017 Kraków
<http://www.utilitia.pl>

REDAKTOR NACZELNY

Joanna Piwowońska

FOTOGRAFIA NA OKŁADCE

EvgeniT

DRUK

K&K

Podmiotem odpowiedzialnym za publikację treści merytorycznych jest Fundacja Instytut Rozwoju Regionalnego. Podmiotem odpowiedzialnym za działalność reklamową jest Utilitia sp. z o.o. Redakcja nie odpowiada za treść publikowanych reklam, ogłoszeń, materiałów sponsorowanych i informacyjnych.



Nakład dofinansowany ze środków Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania, zmian stylistycznych i opatrywania nowymi tytułami materiałów nadesłanych do druku.

Materiałów niezamówionych nie zwracamy.

Wszystkie teksty zawarte w tym numerze czasopisma Tyfloświat dostępne są na licencji Creative Commons Uznanie autorstwa 3.0 Polska. Ponownie rozpowszechniany utwór, dostępny na tej licencji, musi zawierać następujące informacje: imię i nazwisko autora tekstu, nazwę czasopisma oraz jego numer.

Zdjęcia zawarte w czasopiśmie chronione są prawem autorskim i ich przedruk wymaga zgody autora.

W numerze

3 Gra planszowa jako ukłon w stronę niewidomych

Bardzo ciekawa propozycja gry planszowej, wcale nie tylko dedykowanej niewidomym dzieciom.

8 Głośniki Wi-Fi a technologia AirPlay i Google Cast – podstawy

Doskonały specjalista w dziedzinie technologii opisuje nowe rozwiązania, cieszące i ucho i wygodę. Warto poczytać o bezprzewodowych możliwościach i to z dobrej ręki.

17 Czy da się po ciemku zajrzeć w duszę? Czyli o pracy niewidomych psychologów

Autor artykułu stara się odpowiedzieć na postawione w tytule pytanie. Warto przeczytać, z jakimi przemysłowymi trudnościami spotykają się wykształceni niewidomi.

28 Przekład zza zasłony mroku – niewidomi w branży tłumaczeniowej

Czy zawód tłumacza to dobra propozycja pracy dla niewidomych? Jakie są możliwości i zagrożenia wykonywania tego zawodu? A jak to wygląda na świecie? Przeczytaj koniecznie.

42 Sonos – najlepsze głośniki bezprzewodowe

Znakomity znawca technologii bezprzewodowych i miłośnik słuchania dobrze brzmiących urządzeń przedstawia najciekawsze na rynku rozwiązania z tej branży.



Gra planszowa

jako ukłon w stronę niewidomych

Wykluczenie. Słowo w dzisiejszych czasach nośne, popularne – dobrze bowiem czasami wyrzeć poza swoje własne warunki życiowe i dostrzec, z jakimi problemami borykają się inni ludzie. Na ulicach często brak podjazdów, do sklepu nie da się wjechać windą, dostępne są tylko schody, krawężniki są za wysokie, a parkujący kierowcy blokują większość szerokości chodnika. Przechadzka po mieście i załatwianie sprawunków staje się wtedy niemożliwe, czy to dla osób na wózkach inwalidzkich, czy dla mam z dziećmi w gondolach czy spacerówkach.

Prawo popytu oraz szukanie niszy

Zrozumiałym jest, że rynek odpowiada na zapotrzebowanie większości, bo na tym można najwięcej zarobić: a większość to osoby pełnosprawne. Tym bardziej należy docenić firmy i marki wychodzące naprzeciw mniejszościom z potrzebami, które na rynku masowym nie są brane pod uwagę. I tak np. powstaje plac zabaw, gdzie

na platformę do skakania można wjechać wózkiem inwalidzkim, strony internetowe proponują wersję o wysokim kontraście i większym foncie dla osób słabowidzących, a w niektórych kinach niewidomi mogą obejrzeć filmy z audiodeskrypcją. Czy to kwestia zobowiązań wynikających z przepisów prawa, czy z dobrej woli i wzrostu świadomości? Różnie z tym bywa.

Rozrywki niewidomych

Niewidomi mogą korzystać z oznaczonych alfabetem Braille'a talii kart i grać nimi w pokera czy tysiaca, słuchać audiobooków, a nawet znaleźć dostosowane do ich potrzeb wersje tradycyjnych gier, takich jak np. chińczyk z pionkami wciskanymi w otworki w drewnianej planszy (aby uniknąć ich potrącenia). Wybór planszówek jest jednak mocno ograniczony. Wydawnictwo Muduko wyszło naprzeciw potrzebom osób niewidzącym, szczególnie dzieci. „Rozpoznaj stworka” to propozycja dla graczy powyżej czwartego roku życia. Zamknięta w małym, poręcznym sześciennym pudełku, wypełnionym po brzegi, gra została zaprojektowana tak, by do wspólnej gry mogli włączyć się dzieci widzące i niewidome. Już w sklepie osoba niewidoma przeczyta na pudełku nazwę i najważniejsze dane dotyczące gry wytłoczone na opakowaniu. Dodatkowo może zeskanować kody QR i zapoznać się z instrukcją w dwóch wersjach: html, do samodzielnego odczytania przez odpowiedni program lub

w nagranej już wcześniej wersji audio. Zatem kupując grę, nie kupujemy kota w worku.

Jak grać?

Rozpoznaj stworka to gra sensoryczna – głównym zmysłem, którego używamy, grając w grę, jest dotyk. Celem graczy (w podstawowej wersji jest to gra kooperacyjna) jest zaproszenie na imprezę stworków o konkretnych kształtach. Najpierw palcami poznajemy potworki, dotykając ich wypukłych kształtów na kartach gości. Zapamiętujemy ich imiona, po czym rozkładamy karty gości i sięgamy po domki stworków. W rogach domków staramy się wymacać wypukłe kształty potworków. Sprawdzamy, czy dobrze odgadliśmy kształt, dotykając kształtów na rewersie, a w przypadku osób ze sprawnym wzrokiem, zaglądamy na spód domku, gdzie potworki są narysowane. Właściwie odgadnięte potworki przykrywamy na kartach gości żetonami zaproszeń (tutaj potrzebna może być pomoc osób widzących, aby żetony nie uległy przesunięciu).



Gra „Rozpoznaj stworka”



Korzyści

Dzieci ze sprawnym wzrokiem, bawiąc się z dziećmi niewidomymi, rozwijają empatię i dowiadują się, że nie każdy ma dostęp do wszystkich rozrywek, z których one mogą korzystać do woli. Uczą się tego, jak pomagać i jak się komunikować, gdy nie wszyscy gracze mają te same możliwości.

Gra Rozpoznaj stworka powstała we współpracy konsultacyjnej z Marcinem Patoczka z Fundacji Instytut Rozwoju Regionalnego, a patronatem grę objęły: Fundacja Polska Bez Barier oraz zabawkowicz.pl.

Warto wyciągać rękę do potrzeb mniejszości, pytać, co możemy zrobić, by ułatwić lub uprzyjemnić życie osobom bez pewnych oczywistych dla większości przywilejów – aby małymi krokami czynić świat lepszym.

Skąd pomysł na grę dla niewidomych?

Muduko: Uczciwie musimy przyznać, że sama gra nie jest naszym pomysłem – oryginalna gra zainspirowała nas do wykorzystania jej potencjału na bycie grą inkluzywną dla graczy

niewidomych. Rokrocznie w Essen odbywają się słynne na cały świat targi planszówkowe. To właśnie stamtąd przywieźliśmy grę dotykową „Monsters’ Party” tajwańskiego wydawnictwa Kang Hsuan Educational Publishing Corp. Oryginalny wydawca stworzył ją jako grę, owszem, dotykową, ale przeznaczoną dla dzieci widzących. Jedna burza mózgów, druga i w efekcie postanowiliśmy nie poprzestawać na pomysłe tajwańskiego wydawcy i dostosować grę do potrzeb graczy niewidomych.

Jaki był pierwszy krok do przerobienia gry na wersję dla niewidomych?

M: Na początku sami wymyśliliśmy, jak według nas, widzących, dostosować grę, jakie elementy dotykowe dodać, by gra nadawała się dla osób niewidzących. Wiedzieliśmy jednak, że nie poradzimy sobie sami, nie mamy bowiem odpowiedniego zaplecza merytorycznego. Zgłosiliśmy się do Fundacji Instytut Rozwoju Regionalnego, która zgodziła się nam pomóc i wyznaczyła do kontaktów z nami pana



Marcina Patoczkę, który został naszym konsultantem. Pan Marcin zagrał w prototyp już nieco przerobionej przez nas gry, po czym udzielił nam wielu cennych uwag.

Na przykład?

M: Ot, na przykład dla nas, widzących, nie stanowiło problemu zlokalizowanie, gdzie jest góra, dół, spód, wierzch. Za radą pana Marcina pościnaliśmy rogi na niektórych komponentach, aby można było łatwiej odnaleźć się na nich przestrzennie. Najwięcej modyfikacji wymagała instrukcja. Dopisaliśmy do niej swoiste „didaskalia”, opisujące to, po czym dotykaniem możemy rozpoznać poszczególne elementy składowe gry albo w jaki sposób kłaść na stole „domki stworków”, których narożników dotykamy, by wyczuć pod palcami odpowiednie kształty.

To brzmi całkiem ciekawie!

M: Tak! Dzięki konsultacjom z panem Marcinem lisnęliśmy nieco alfabetu Braille’a.

Zależało nam bowiem na tym, by osoba niewidoma już w sklepie na półce mogła sama dotknąć opakowania i zorientować się, co ma w ręce. Dlatego podstawowe informacje o grze przedstawione są na wieczku i boku opakowania wypukłymi kropkami. Z kolei na denku można wyczuć dwa kwadraty, w których zamknęliśmy kody QR – jeden z nich prowadzi do instrukcji w wersji HTML, którą osoba niewidoma może przeczytać dzięki odpowiedniej aplikacji, a drugi – do nagrania instrukcji w wersji audio.

Również nasz dział technologii zrobił wszystko, aby przygotować odpowiednie prototypy – sprawdzaliśmy np. jak zachowuje się tłoczenie, a jak lakier puchnący – którą metodę gdzie możemy zastosować, która będzie bardziej czytelna w przypadku rozpoznawania dotykaniem kształtów, a która w przypadku konieczności przeczytania napisu. W efekcie na opakowaniu mamy tłoczenie z napisami Braille’em, a na komponentach zastosowaliśmy lakier puchnący (który również w zależności

od powierzchni, na którą został położony, jest łatwiej lub trudniej wyczuwalny, co skrętnie wykorzystaliśmy w najważniejszych dla gry „domkach stworków”, gdzie najpierw musimy wyczuć kształty geometryczne w narożnikach od środka, a później obrócić „domek” i albo spojrzeć na obrazek, albo dotknąć domku od spodu, gdzie kształty są wyraźniej wyczuwalne.

Powtarzają Państwo, że gra integruje osoby niewidome z widzącymi, a nie, że niewidomi mogą posługiwać się nią zupełnie samodzielnie?

M: To prawda. Technologicznie zrobiliśmy tyle, ile mogliśmy, aby grę dostosować dla osób niewidomych, ale zarówno po konsultacjach z panem Marcinem, jak i później, w testach prototypów przeprowadzonych z ramienia patronującej temu wydaniu Fundacji Polska bez Barier, nasi konsultanci przekazali nam, że minimalna pomoc osoby widzącej jest

przy rozgrywce jednak niezbędna (np. żetony kładzione na kartach mogą ulec przesunięciu, gdy zostaną potrącone, dlatego ktoś musi przełożyć je z powrotem na miejsce). Niemniej jesteśmy szczęśliwi, że choć w pewnym stopniu osoby niewidzące mogą grać w tę grę na równi z widzącymi. Nasze testerki, reprezentantki Polski w blind tenisie, bawiły się dobrze, testując grę. Na ostatnich etapach produkcji wspomogli nas również wychowankowie i ksiądz opiekun z położonego po sąsiedzku ośrodka dla niepełnosprawnych mężczyzn.

Czyli mamy gwarancję jakości?

M: Na pewno zrobiliśmy wszystko, co było w naszej mocy i zgodnie z naszym stanem wiedzy – mamy nadzieję, że podobnie jak u naszych testerów, gra sprawdzi się w praktyce. Jesteśmy oczywiście otwarci na wszelki feedback, żeby doskonalić się w tej materii na przyszłość. Dodatkowo grę zaufał zabawkowicz.pl, który objął ją patronatem.





Głośniki Wi-Fi a technologia AirPlay i Google Cast – podstawy

Od dłuższego czasu zaobserwować możemy bardzo intensywny rozwój rozmaitych głośników bezprzewodowych. Gdy mówimy „głośnik”, kojarzymy od razu te połączone przez bluetooth. I jest to oczywiście prawda, ale nie cała.

Nigdy nie byłem ich zwolennikiem, zapewne głównie za sprawą problemów, jakie może sprawiać rozdzielanie dźwięku syntezy, z którą pracują niewidomi, od zawartości audio (muzyka, wszelkiego rodzaju multimedia, radio, inne dźwięki itp.). Oczywiście sytuacja się polepsza, gdy uda się nam rozdzielić dźwięk, ale nie jest to wcale takie proste i oczywiste. Do tego mocno zależy od rodzaju systemu operacyjnego, użytego profilu bluetooth

i jeszcze innych kwestii w które nie będę teraz się zagłębiał. Mogę jedynie ogólnie powiedzieć, że głośniki z bluetooth są coraz lepsze, coraz bardziej funkcjonalne i coraz tańsze z pożytkiem dla wszystkich. Konkurencja jest tutaj jednak ogromna i cena nie zawsze musi iść w parze z jakością i funkcjonalnością określonego głośnika. Nie polecam tych zupełnie nieznanymi, tanich i dostępnych w jakiś marketach.

Głośniki bluetooth z uwagi na swoją popularność wymagałyby za pewne osobnego potraktowania i kto wie; może ktoś kiedyś napisze pogłębiony artykuł na ich temat i przy tej okazji opíše interesujące wybrane ich modele. Ze swojej strony wskażę tylko ogólnie takie marki jak: JBL Flip, Denon Envaia, BO Play A i Sony.

Tematem tego artykułu będą głośniki Wi-fi, głośniki inteligentne, smart-głośniki, głośniki

strefowe. Nazw tych używam wymiennie. Znaczą one właściwie to samo, choć każda z nich kładzie Akcent na nieco inne zastosowanie i funkcję głośnika. Wi-fi wskazuje na to, że nasz głośnik będzie przyłączony do sieci bezprzewodowej, tak jak smartfon i komputer. „Inteligentny i smart-głośnik” wziął się stąd, że umożliwia komunikację z jednym z obecnych od pewnego czasu na świecie asystentów głosowych: Amazon Alexa, Google Assistant, Apple Siri, dzięki czemu funkcjami głośnika, a pośrednio też całego systemu, do którego taki głośnik jest podpięty, możemy sterować głosowo. Niestety sprawę komplikuje fakt, że nie wszystkie funkcje głosowych asystentów i. Ogólem ich obecność ograniczona jest do niewielu krajów i języków.

I tak: Amazon Alexa nie mówi po polsku i nie jest dostępna w naszym kraju, Google Assistant dostępny jest na smartfonach w języku polskim, ale na głośnikach (mimo wielokrotnych zapowiedzi) ciągle jeszcze tylko po angielsku. Podobniej jest z Apple siri. Tu Możemy korzystać z Siri z poziomu iPhone'a, albo Maca, ale tylko po angielsku i nie w takim stopniu, jak mogą to robić mieszkańcy Stanów Zjednoczonych. Na domiar złego, nie możemy oficjalnie kupić HomePoda i HomePoda Mini – głośników inteligentnych od Apple'a z uwagi na brak oficjalnej dostępności w Polsce. Stąd pominę HomePoda w dalszych analizach. Po co wobec tego zajmować się tą tematyką, skoro sporo funkcji nie działa, albo w pełni nie może zostać należycie wykorzystanych. Powodów można by wskazać wiele. Najistotniejsze z nich to: sterowanie głosowe, które potrafi przyspieszyć wiele zadań, łatwiejszy dostęp do muzyki w tle, możliwość bezproblemowego przesyłania dźwięku ze smartfona i komputera. Oczywiście wiele

tutaj zależy od naszych przyzwyczajeń i naszego stylu życia. Nie każdy czuję się komfortowo, kiedy komunikuje się z urządzeniem za pomocą głosu, nie każdy też ma do tego odpowiednie warunki w domu. Pewną barierą może też być niedostateczna znajomość języka angielskiego, w którym komunikujemy się z głośnikiem i w którym najczęściej on nam odpowiada. Znaczenie też ma liczba innych urządzeń oraz usług, z których na co dzień korzystamy i z którymi określony Ekosystem, a co za tym idzie bezprzewodowy głośnik akurat współpracuje. Wszystko to zdaje się bardziej zniechęcać, niż zachęcać do używania takiego głośnika, ale to na szczęście tylko teoria. W praktyce okazuje się, że nie jest tak źle i osoby o nie aż tak dużej wiedzy technicznej z powodzeniem mogą ich używać. W dalszej części artykułu opiszę podstawowe technologie, różnice pomiędzy nimi i przykłady wykorzystania najbardziej popularnych głośników bezprzewodowych. Zestawienie będzie miało charakter raczej ogólny, stąd osoby, które na codzień śledzą rozmaite nowości technologiczne i czytają artykuły w branżowych portalach, najprawdopodobniej nie dowiedzą się z niego zbyt wiele.

AirPlay

Firma Apple już od wielu lat rozwija swoje pomysły na usługi i urządzenia związane z odbiorem muzyki. Nie były to może nigdy sprzęty najwyższej klasy, ale na pewno były bardzo przyzwoitej jakości i łatwe w obsłudze. Dość przypomnieć pojawienie się iPod'a, a wraz z nim sklepu iTunes z cyfrową muzyką. Nas to ominęło i nie do końca zdajemy sobie sprawę, jak duża to była rewolucja dla głównie amerykańskich odbiorców. Właśnie jednym z następstw



Niestety głośniki z wysokiej półki, poza ceną, mają też inne zaporowe, np. nikłą dostępność, spowodowaną zastosowaniem ekranów dotykowych do sterowania funkcjami

pojawienia się muzyki cyfrowej, którą można było legalnie kupić, był konsekwentny – dalszy rozwój oferty produktowej Apple w tym zakresie. Można powiedzieć, że takim prekursorem przesyłania poprzez AirPlay, była technologia AirTunes. Dzięki niej można było strumieniować bezprzewodowo muzykę z iTunes do specjalnego rutera AirPort Express wyposażonego w wyjście sygnału optycznego i analogowego w formie mini jacka. Do niego można było z kolei podłączyć niezłe głośniki, wzmacniacz i tym sposobem odtwarzać muzykę z komputera na zestawie audio wysokiej klasy. Tak było kiedyś. Aż nadszedł AirPlay.

Technologia bezprzewodowego przesyłania dźwięku, obrazu i metadanych na kompatybilne urządzenia, zadebiutowała ponad 10 lat temu. Początkowo ograniczona była do urządzeń Apple (Mac, iPhone, iPad,

iPod, z czasem Apple TV, Apple Watch i HomePod). Szybko jednak stała się obecna w głośnikach bezprzewodowych, a potem również w telewizorach, soundbarach, amplitunerach i systemach audio producentów marek liczących się na rynku (Denon, Marantz, Yamaha, Bowers & Wilkins, Bose i inne). Z czasem pojawiły się kolejne udoskonalenia: możliwość przesyłania dźwięku i obrazu pomiędzy urządzeniami Apple, klonowanie ekranu.

Stosunkowo niedawno, bo w 2018 r. pojawił się AirPlay 2. To udoskonalony Standard AirPlay. Jakość transmitowanego audio i video jest na jeszcze wyższym poziomie. Zwiększony został bufor do przesyłania danych. Pojawił się Multiroom – możliwość przesyłania tego samego dźwięku do kilku urządzeń na raz. Umożliwiono również przesyłanie filmów 4K i zaawansowanych ścieżek dźwiękowych.

Do tego wraz ze wzrostem popularności soundbarów pojawiła się opcja oddzielnego transmitowania obrazu na telewizor i oddzielnego dźwięku na głośniki. Można powiedzieć, że dostęp do urządzeń AirPlay jest automatyczny. Wystarczy, że iPhone, komputer itd. oraz odbiornik AirPlay (głośnik, amplituner...) są podpięte do tej samej sieci Wi-Fi. I to tyle; wszystko powinno działać bezkolizyjnie. Możemy przestać dźwięk i obraz z właściwie każdej aplikacji, korzystając z dobrodziejstw systemu iOS i macOS. Nie jest przy tym wymagana implementacja obsługi tego protokołu przez twórców aplikacji. Wchodzimy do Centrum sterowania, wybieramy źródło odtwarzania i gotowe. To właśnie za sprawą AirPlay, rozwinął się nowy segment rynku, jakim są omawiane głośniki Wi-Fi. Początkowo były to drogie, a nawet bardzo drogie i niekoniecznie dostępne w Polsce urządzenia takich firm jak: Bang & Olufsen, Philips, i Sonos. Pewnie byłoby tak jeszcze długo, gdyby nie konkurencyjna wobec AirPlay technologia Google Cast i rozwój głosowych asystentów (w tym wypadku Alexa Google Home).

Google Cast

Technologia Google Cast kojarzy się, nie bez racji, bardziej z przesyłaniem obrazu niż dźwięku. Wszystko za sprawą najpopularniejszej przystawki służącej do przesyłania multimediiów do telewizora. Nazywa się Chromecast i podłączana jest poprzez HDMI. Integruje się w pierwszym rzędzie z serwisami oferującymi transmisję wideo (YouTube, Netflix), ale też Spotify i Tunes. Istnieje jego wersja przeznaczona do przesyłania tylko audio. Nazywała się Chromecast Audio, ale nie występuje już



Odtwarzaj film na Apple TV lub na zgodnym z AirPlay 2 telewizorze inteligentnym

Dostęp do urządzeń AirPlay jest automatyczny. Wystarczy, że iPhone, komputer itd. oraz odbiornik AirPlay (głośnik, amplituner...) są podpięte do tej samej sieci Wi-fi.

w sprzedaży. Jej miejsce zajęły Google Nest Audio. Nie jest to już taka zwykła przystawka służąca do bezprzewodowej transmisji dźwięku, chociaż oczywiście to też potrafi. Przed wszystkim jednak wpisuje się w obecną już wcześniej rodzinę inteligentnych głośników Google. Tym sposobem, Google Nest zastępuje wcześniejsze dwa rodzaje urządzeń: Google Home i Chromecast Audio. Dostyc szybko technologia Google Cast rozpowszechniła się i teraz obecna jest w głośnikach JBL, Polk, wybranych Audio Pro, Sony i innych. By wszystko działało prawidłowo, należy połączyć głośnik z naszą siecią Wi-Fi i dodać go do aplikacji Google Home, która służy do sterowania ekosystemem Google'a i występuje w obu systemach mobilnych: Android i iOS. Już później, samo korzystanie z Chromecasta nie powinno przysparzać trudności. W aplikacjach, które wprowadziły jego obsługę, wystarczy skorzystać z przycisku Cast i wybrać stosowny odbiornik wspierający Google Cast. Na pewno funkcja ta działa na YouTube, Google w usłudze Podcasts, Netflixie, Tunes i innych.

Google Nest Audio

Te referencyjne niewielkie głośniki oferowane przez Google niestety nie są oficjalnie dostępne na polskim rynku. Stary Google Home i jego następca – Google Nest występują w kilku odmianach: mini, audio i hub (z ekranem). Zyskały bardziej nowoczesny wygląd, a do tego są produkowane większości z materiałów, które zostały pozyskane z recyklingu.

Nie mogłem ich przetestować, ale z większości internetowych recenzji wynika, że nowa seria Google'owskich głośników gra nieco lepiej, niż poprzednia, niemniej jednak trudno tu liczyć na jakieś bardzo pozytywne wrażenia dźwiękowe. To raczej głośniki do biura, do odtwarzania muzyki w tle. Przede wszystkim ich głównym przeznaczeniem jest obsługa Asystenta Google. Tak jak już pisałem na wstępie, komunikujemy się z nim z poziomu głośników jedynie w języku angielskim (brak wsparcia polskiego – stan na czerwiec 2021 r.). To w sumie i tak nie źle. Mając dwa głośniki (nie tylko Google'a, ale w ogóle wspierające Google Cast), możemy utworzyć multiruum, sterować

YouTube'em i Spotify. Dzięki obsłudze TuneIn można wydać polecenia odtwarzania określonej stacji radiowej. Istotnym problemem jest utrudnione wprowadzanie wszelkie go rodzaju polskich nazw. Dotyczy to zarówno nas w stacji radiowych, ale też polskich wykonawców obecnych chociażby w serwisie Spotify. Od czasu do czasu sztuka. ta może się udać, ale często z językiem polskim są kłopoty.

JBL Link Portable

Zaprezentowany i wprowadzony na rynek w zeszłym roku głośnik JBL Link Portable to bardzo ciekawa propozycja dla tych wszystkich, którzy chcieliby pogodzić zalety obu rozwiązań technologicznych. JBL już wcześniej oferowała głośniki zgodne z Google Cast, ale jeszcze nigdy ze wsparciem dla AirPlay. Aż tu niespodzianka. Głośnik JBL Link Portable ma wszystko, co mieć powinien: Bluetooth, wsparcie dla Google Cast, dla AirPlay2, poprawiony dźwięk, a do tego ma wbudowany akumulator i jest wodoodporny. Głośnik można ładować poprzez wbudowane



gniazdo USB typu C lub dzięki dedykowanej stacji dokującej znajdującej się w zestawie. Akumulator wystarcza na 8 godz. połączenia poprzez Bluetooth, około 5-6 poprzez Wi-Fi. Cena głośnika to około 600 zł. Nie jest więc najgorzej.

Czy JBL Link Portable to dobra propozycja? Tu zdania są podzielone. Głośnik prezentuje się ładnie, po dostrojeniu muzykę odtwarza nie najgorzej, natomiast mniej przyjemnie słucha się na nim radia i podcastów. Takie opinie można było niejednokrotnie spotkać w internetowych testach, z którymi raczej się zgadzam. Trudno się mimo to nie zgodzić, że sterowanie głosowe, wsparcie dla Google Cast (potocznie zwanego Chromecastem), a do tego możliwość przesyłania zawartości audio za pośrednictwem AirPlay, czyni z głośnika JBL całkiem sensowną propozycję. Nie wiem, czy do końca polecałbym ten głośnik. Chyba raczej tak, bo w tej cenie niczego podobnego nie spotkamy. Kiedy jednak dopłacimy trochę, zyskamy obcowanie z marką Sonos i znacznie lepsze wrażenia zresztą nie tylko dźwiękowe. Warto się zastanowić.

Sonos Move i Sonos Room

O systemie Sonos, jako całym zestawie głośników domowych, napiszę więcej w osobnym artykule. Teraz ogólnie tylko napiszę, że Sonos to amerykańska marka tzw. głośników bezprzewodowych, która słynie z dobrego dźwięku, prostej obsługi, i stabilnego działania. Od kilku lat obecna jest również w Polsce. Chętni mogą kupić na stronie Sonos wybrany głośnik, a do tego mają możliwość jego zwrotu przez nawet 3 miesiące. Do tego Sonosy dostępne są w sieci Salonów Denon (na Allegro Audio Video Design) i w innych sklepach specjalistycznych.



Google Nest zastępuje wcześniejsze dwa rodzaje urządzeń: Google Home i Chromecast Audio.

Seria Sonos to głośniki Wi-fi wspierające AirPlay. Teoretycznie też można na nich uruchomić Asystenta Google, ale nie jest to zawsze możliwe. Raz działa, raz nie działa. Ponoć najlepiej jest pod tym względem z Sonosem Room. Na przeszkodzie stoją ograniczenia samego Google'a, który już dwa lata temu obiecał rozszerzenie działania Asystenta Google na inne regiony i języki, niż te podstawowe i jak na razie z deklaracji się nie wywiązuje. Doprecyzuję przy tej okazji, że wsparcie dla Google Assistant nie oznacza możliwości obsługi technologii Google Cast (potocznie Chromecast). Warto o tym pamiętać i przed zakupem sprawdzać to i traktować obie kwestie rozdzielnie. Zato Airplay oraz obsługa za pośrednictwem samej aplikacji Sonos (szczególnie na IOS) to cała przyjemność. To jedna z lepiej dostępnych aplikacji służących do obsługi wszelkiego rodzaju systemów bezprzewodowego audio.

To, co do niedawna wyróżniało system Sonos, związane jest właśnie z sposobem komunikacji Sonosa z różnymi usługami streamingowymi. W aplikacji dodajemy (autoryzujemy) poszczególne usługi, takie, jak: Spotify, Apple Music, Tidal, Deezer, SoundCloud, TuneIn i wiele innych. Od tego momentu aplikacja Sonos staje się centrum odtwarzania treści zgromadzonych w obrębie rozmaitych serwisów, z których korzystamy. Z całkiem dostępnego interfejsu aplikacji Sonos możemy potem odtwarzać płyty ze streamingów, tworzyć playlisty dostępne w obrębie aplikacji, złożone z utworów obecnych w rozmaitych serwisach (część np. ze Spotify, druga część z Tidal itp.). Wszystko



Chromecast to popularna przystawka, umożliwiająca odbiór treści multimedialnych na ekranie telewizora

odtworzone jest potem przy udziale serwerów Sonos, trochę podobnie, jak to ma miejsce w przypadku Spotify Connect. Zapobiega to szybkiemu rozładowywaniu się telefonu i pozostawia AirPlay na inne okazje.

Sonos ma w swojej ofercie różne grupy głośników i soundbarów. Nie warto już raczej myśleć o starej serii Sonos Play, bo nie jest już wspierana, nie otrzyma żadnych nowości, a jedynie utrzymywane jest to, co technologicznie jest możliwe. Warto uwagi są: Sonos Symfonisk WiFi, Sonos One i SL, Sonos Roam oraz Move i trochę osobno – Sonos Five

Sonos Symfonisk

Najtańszym z Sonosów jest Symfonisk. Tonowa mini marka, obecna od niedawna, za sprawą współpracy firm Sonos oraz Ikea. Sonos zapewnia tu niezły dźwięk, natomiast Ikea dba o design. Dzięki temu powstał głośnik w formie niewielkiej półki, lampki, a ostatnio również ramki do zdjęć. Cena około 500 zł. Można sobie zadać pytanie, co z jakością audio. Jest niezły, ale na pewno im droższy, ale też większy Sonos, tym lepiej. W sumie trudno się temu dziwić. To normalna prawidłowość.

Sonos One i SL

Najbardziej reprezentatywnym i chyba też najlepszym, gdyby wziąć pod uwagę cenę, jakość i możliwości, jest Sonos One. Za około 900-1000 zł dostajemy stosunkowo niewielki głośnik, który gra zaskakująco dobrze, i, jeżeli ktoś sobie tego życzy, też głośno. Podstawowe sterowanie uzyskać można z poziomu głośnika (wyczuwalne przyciski-sensory dotykowe) i wspomnianej już aplikacji Sonos. AirPlay działa bardzo dobrze. Teoretycznie może działać Google Asystent, ale obecnie w Polsce nie

został on włączony dla głośników. Wersja SL różni się od One brakiem mikrofonów, a tym samym możliwości sterowania głosowego. Zakup kolejnego podobnego głośnika to już niezłe stereo. Ciągłe jednak mówimy o głośnikach podłączanych do prądu, a więc o rozwiązaniu mimo wszystko raczej stacjonarnym. A co z mobilnością? Na szczęście od pewnego czasu Sonos ma coś w ofercie dla tych osób, które chciałyby się przemieszczać z urządzeniem.

Sonos Roam

Sonos Roam To zupełnie nowy głośnik w portfolio producenta. Dostępny w sprzedaży od kwietnia za około 800 zł głośnik, to nieduże urządzenie, trochę wielkością podobne do JBL Link Portable, tylko zupełnie inne w dotyku. To głośnik, który łączy wszystkie najlepsze technologie, tzn.: Bluetooth, obsługę AirPlay i funkcjonuje w ramach systemu Sonos. Roam jest wodoodporny. Można do niego dokupić osobno stację dokującą (ładowarkę bezprzewodową), która przy okazji może nam posłużyć do zasilania innych urządzeń. Ma możliwość połączenia zarówno z Wi-Fi, jak i Bluetooth, umożliwia przesyłanie strumieniowe w dowolnym miejscu. Gdy słuchasz w domu, standardowo Roam łączy się z domową siecią Wi-Fi i przesyła dźwięk strumieniowo przez sieć Wi-Fi. Gdy nie ma dostępu do Internetu, automatycznie (po wcześniejszym sparowaniu) np. ze smartfonem, przełącza się na Bluetooth. Dzięki zupełnie nowej funkcji — Sound Swap — wystarczy przytrzymać przycisk Odtwórz/Pauza na głośniku, aby przenieść muzykę do najbliższego głośnika w systemie. Pozwala to łatwo kontynuować słuchanie muzyki w dowolnym pomieszczeniu.



Głośnik JBL Link Portable ma wszystko, co mieć powinien: wsparcie dla Google Cast oraz dla AirPlay2.

Sonos Move

Jest jeszcze Sonos Move. To jednak dosyć duży i ciężki głośnik (z racji akumulatora, cięższy nawet od Sonosa One). Dźwiękowo to właśnie jego klon, ale dodatkowo możemy go odłączyć i słuchać bez prądu. Jediną niedogodnością jest cena – prawie 1700 zł.

Sonos Five

Jeszcze droższy jest Sonos Five – duży głośnik, swoim wyglądem i budową przypominający już kolumny podstawkowe. To propozycja znowu tylko stacjonarna i skierowana raczej do kogoś, kto myśli nad zamianą, albo skomplementowaniem sobie większego systemu Hi-Fi i nie chce już mieć w domu klasycznego amplitunera, wzmacniacza itp.



Sonos to amerykańska marka tzw. głośników bezprzewodowych, która słynie z dobrego dźwięku, prostej obsługi, i stabilnego działania.

Inne propozycje

Celem niniejszego artykułu nie było dogłębne przedstawienie wszystkich dostępnych na rynku i możliwych do wdrożenia rozwiązań bezprzewodowych. Starłem się opisać podstawowe informacje o dostępnych rozwiązaniach oraz wybranych systemach głośnikowych w ramach poszczególnych kategorii cenowych i produktowych.

Z pewnością nie są to wszystkie opcje obecne w sprzedaży.

Yamaha mocno rozwija przecież swój system MusicCast – <https://musiccast.pl>. To taki trochę odpowiednik Sonosa, ponoć też całkiem dobrze dostępny i wart uwagi. Inne propozycje to seria głośników Denon Home (system Cheos), multiroomy od AudioPro: AudioPro C10 MKII. Ostatnio też pojawił się nowy AudioPro G10 (dodatkowo z Google Assistantem i Google Castem, ale nie na prąd i bez multiroomu). Dalej są już systemy premium – Bowers & Wilkins Formation, Devialet, BlueSound, Beo,

Linn i inne. Często głośniki wyżej wymienionych marek charakteryzuje wysoka cena (kilka tys. zł za sztukę albo i więcej) i niestety niepełna – problematyczna dostępność. Co prawda AirPlay, Spotify Connect to już standard, współpraca z Google Cast i implementacja asystentów głosowych też dość często się zdarza. Niestety mało wiadomo, jak realnie sprawdzają się aplikacje sterujące. Istotnym problemem jest tutaj design wspomnianych, bardziej luksusowych głośników. Najczęściej ich obsługa z poziomu urządzenia sprowadza się do podświetlanego szklanego panelu, względnie przycisków dotykowych innego rodzaju.

A jakość dźwięku? Na pewno bardzo dobra, w niektórych przypadkach wręcz rewelacyjna. Niemniej zależy to od słuchowych preferencji, rodzaju pomieszczenia, wybranego źródła dźwięku i pewnie jeszcze innych czynników. Jest jeszcze jedna grupa, o której nic nie napisałem. To kolumny podstawkowe, a czasem też podłogowe, tzw. aktywne. W tej grupie w klasycznych kolumnach dostajemy od razu wszystkie technalia, czyli to, co zawiera wzmacniacz. Kilka z nich zawiera również pilota do obsługi. Niestety na teraz nie mogłem sprawdzić, jak się one sprawują. Mam tu na myśli dwie propozycje: Yamaha MusicCast NX-N500i Audio Pro A26 (podstawkowe) i A36 (podłogowe) – z portem HDMI ARC, niby przeznaczone do telewizorów, ale nie koniecznie przecież musi tak być.

Jak więc widać, wybór jest ogromny, a konkurencja i podobieństwo jednych urządzeń do drugich nie ułatwia wyboru. Warto przed zakupem poczytać testy, podpytać w Salonach Denon (marki denon i Sonos), Top Hifi (AudioPro, Yamaha, inne). Marki JBL nie spotkamy w salonach specjalistycznych, ale już w sklepach typu MediaMarkt, być może tak.



Czy da się po ciemku zajrzeć w duszę?

Czyli o pracy niewidomych psychologów

Zostałem niedawno poproszony o napisanie artykułu, w którym mam się odnieść do zagadnienia postawionego w formie pytania, czy osoba niewidoma może być psychologiem, a jeśli tak, to jak to wygląda i jak dysfunkcja wzroku przekłada się na efektywność pracy. Ponieważ ta kwestia od dawna mnie ciekawiła, zgodziłem się na spenetrowanie tego zagadnienia.

Temat jest mi bliski, gdyż sam jestem psychologiem i jakieś skromne doświadczenie w tej dziedzinie posiadam. Byłoby to jednak bardzo nudne, gdybym odnosił się tylko do swoich doświadczeń, dlatego porozmawiałem z kilkoma osobami z branży,

które nie widzą i pracują w zawodzie psychologa, a dwie z nich zgodziły się na to, aby zamieścić ich wypowiedzi w tym artykule. W pewnym sensie odpowiedź na postawione w tytule pytanie już została udzielona, bo skoro istnieją osoby niewidome, które pracują jako

psycholodzy, to oczywiste jest, że nie widząc można pracować w tym zawodzie. Jednak nie jest to aż tak proste i oczywiste. Osobiście, gdy szukałem pracy na wolnym rynku, spotkałem się z przekonaniem, że niewidomy nie poradzi sobie w tym zawodzie. Dlaczego tak się dzieje i na jakiej podstawie potencjalni pracodawcy mogą myśleć w ten sposób?

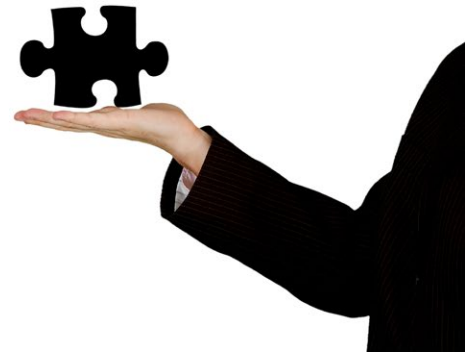
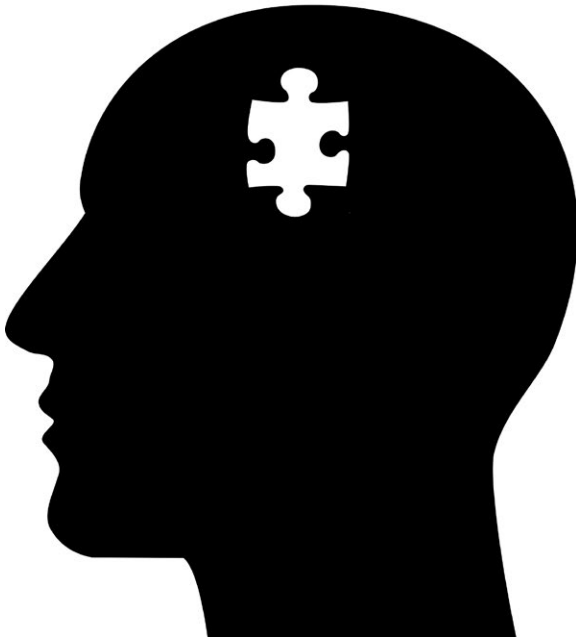
Aby poszukać odpowiedzi na to pytanie i rozstrzygnąć, co jest powodem takiego myślenia, czy jest ono słuszne, czy nie i co tak na prawdę może stanowić dla osób niewidomych trudność w wykonywaniu zawodu psychologa, musimy sobie przypomnieć kilka podstawowych prawd o psychologii.

O psychologii bardzo mało słów

Dla tych, którzy nie wiedzą, termin psychologia to w dosłownym tłumaczeniu z języka greckiego „nauka o duszy”, jednak jej rodowód nie jest tak starożytny, jakby życzyli sobie psycholodzy. Termin ów został po raz pierwszy użyty w szesnastym wieku przez poetę i humanistę (nazywanego też ojcem chorwackiej literatury), Marko Marulić ze Splitu w zagubionej łaćnińskiej rozprawie „Psychologia de ratione animae humanae” wydanej między 1510 a 1519 rokiem. Dziś nauka o duszy zajmuje się bardzo wieloma dziedzinami ludzkiego życia, a czerpie dla swoich potrzeb pełnymi garściami z dziedzin pokrewnych – tj. socjologii, antropologii, filozofii i biologii. Ile nurtów możemy wyłonić w psychologii w dzisiejszych czasach nie sposób spamiętać ani tu wymienić, gdyż musiałbym napisać rozprawę o psychologii. Musi zatem, Czytelniku, wystarczyć Ci ten okrucz wiedzy, że Twoja dusza jest rozległa i bogata, a pośród jej głębin możemy odnaleźć między innymi takie wyspy jak: postrzeganie, myślenie, wyobrażanie sobie,

zapamiętywanie i przypominanie, a to wszystko leży na morzu zwanym psychologią poznawczą. Inna wyspa związana z nabywaniem mowy, połączonej z innymi procesami psychicznymi, to psycholingwistyka. Jeszcze inna wyspa to psychologia osobowości, tutaj są badane nasze motywację, emocje, stałe elementy naszej psychiki. Nasze automatyczne i nauczone reakcje na określone bodźce to psychologia behawioralna; niespecjalnie stawia ona nasze reakcje wyżej od zwierząt, takie biologiczne mechanizmy zachowania. Można by tak wymieniać i wymieniać, bo jeszcze jest gdzieś neuropsychologia, psychopatologia – to o chorobach i zaburzeniach, psychologia zdrowia – o tym, co jest dla nas zdrowe, psychologia sądowa, jako zupełnie już sztuczny twór, wymyślony przez cywilizację i prawników, ale czasami przydatny. W końcu docieramy do psychologii społecznej, która jest o naszych więziach z innymi ludźmi, o reakcjach naszej duszy w procesach grupowych, o negocjacjach i mediacjach, a co najważniejsze, o komunikacji między nami.

Czym byłoby życie bez komunikacji, jak mogłaby nastąpić wymiana idei, myśli, czynów, historii wszelakich, gdyby nie komunikacja. Nawet rośliny podobno ze sobą „rozmawiają”. Zwierzęta stadne bez komunikacji nie tworzyłyby stada. A człowiek? Wisienka na torcie stworzenia, ani by był, ani wojen nie prowadził, ani literatury nie tworzył, ani by świata nie przekształcał, gdyby nie miał zdolności do komunikacji między sobą. Ta komunikacja okazuje się być bardzo ważną umiejętnością, i pomijając w psychologii wszystko to, co zajmuje się badaniem naszej duszy i opisywaniem jej funkcji, zmierzamy wprost do psychoterapii, czyli pomagania



innym, a tu bez komunikacji daleko nie zajedziemy. Co to jest zatem ta komunikacja?

O komunikacji słów kilka

Komunikacja to ni mniej, ni więcej, a wymiana informacji, która odbywa się za pośrednictwem: słów, tonu głosu, pisma, symboli (np. kolory, symbole graficzne itp.), mowy ciała, w skład której wchodzi mimika, gesty, ziewanie i wszelkie „eee...” jak i inne przerywniki. Komunikacja służy nie tylko do wymiany samej informacji, ale również myśli i woli, budowania relacji między ludźmi. Jest to proces złożony oraz dynamiczny i wyróżnia się w nim dwie płaszczyzny. Werbalną, związaną z mową, i drugą, niewerbalną, związaną z wszystkim tym, co przekazujemy bez użycia słów czy pisma. Jak twierdzą badacze, obie płaszczyzny są ze sobą powiązane, gdyż komunikacja niewerbalna (bardziej niż werbalna) odpowiada za przekaz emocji. Komunikacja werbalna jest prosta do zrozumienia. Jako ciekawostkę dodam tylko, że prócz mowy i pisma ostatnio włącza się też do niej komunikację elektroniczną jako coraz bardziej popularną formę wymiany informacji.

Niewerbalna strona komunikacji odbywa się bez udziału słów; w znacznym stopniu wpływa na to, jak odbiorca ostatecznie odczyta komunikat słowny. Komunikaty niewerbalne występują zawsze i mniej lub bardziej podlegają naszej świadomej woli. Ponieważ niewerbalna część komunikacji jest mniej intuicyjna, warto rozszerzyć wiedzę o tym zagadnieniu dodając, że wyróżniono tutaj takie aspekty jak: mimikę twarzy tj. (miny, czerwienienie się, mruganie oczu, unikanie kontaktu wzrokowego), kinezytykę, czyli (gestykulację, postawę i pozycję ciała), proksemikę, tj. (odległość jaką zajmujemy w stosunku do innych ludzi w trakcie komunikacji), oraz parajęzyk, co oznacza (tempo mówienia, natężenie głosu, prędkość mówienia, przejęzyczenia itp.).

Zatem komunikacja to ważny, delikatny i złożony proces, a przez swoją złożoność podatny na szereg zakłóceń i jak już można się domyślać, gdzieś w tej komunikacji może być przystawiony pies pogrzebany, a nawet, jak to niektórzy mówią, diabeł tkwić może w szczegółach, zupełnie ignorując całość procesu zagładania po ciemku w duszę. Czy zatem w tej sytuacji, osobie, której chcemy

pomóc, w zupełnych ciemnościach da się efektywnie zajrzeć w duszę i coś z tego jeszcze wywnioskować?

Z życia wzięte, czyli o paru zabawnych absurdach

Chciałoby się napisać, że to zagłądanie w duszę przebiega całkiem sprawnie i widzenie tu nic nie ma do rzeczy, wbrew życzeniom niektórych ludzi o nazbyt dużym przywiązaniu do stereotypów. Zanim jednak przejdę do poważnej analizy zagadnienia, chciałbym wzorem psychologów z dziedziny neurolingwistycznego programowania, którzy w ramach burzy mózgów zalecają najpierw wypłuć z siebie absurd, napisać o paru absurdach do kwadratu, aby kwestie ważne, choć nieistotne, mieć z głowy.

Kwestia pierwsza to infantylicyzacja, druga to stereotypizacja. Trzecia to z kolei niedocenianie faktycznych umiejętności osób niewidomych. Traktowanie nas jakbyśmy byli małymi dziećmi, co to zginą zaraz, zabłądzą na korytarzu przychodni, obleją się wrzątkiem w trakcie robienia sobie kawy, albo nie trafią do łazienki i biedna pani recepcjonistka będzie musiała zniżyć się do poziomu naszej mamy i prowadzić nas do kabiny ubikacyjnej. Ufam, że niewiele osób niewidomych spotkało się z tak obraźliwą postawą w stosunku do siebie, jak i że niewiele osób niewidomych te reakcje utwierdziło, bo i tacy niestety się zdarzają. Ja jednak miałem w tej materii pecha i parę zabawnych sytuacji mi się zdarzyło. Już przy szukaniu pierwszej pracy okazało się, że to nic, że mam wykształcenie wyższe, tytuł magistra psychologii jednego z uniwersytetów. W głowie potencjalnego pracodawcy nie korespondowało to z moimi umiejętnościami. Jego niepełnosprawność

polegała na tym, że w klinice, w której miałem pracować, były schody, a nikt nie ma czasu, aby pacjentów przyprowadzać do mnie.

Według słów mojego potencjalnego szefa:

„Pan nie może chodzić sam po schodach, bo ja biorę za pana odpowiedzialność”. Ciekawe, kto bierze odpowiedzialność, dajmy na to, za nietrzeźwych kierowców, ich żony? W drugiej pracy problemem był czajnik z wrzątkiem i nie dało rady wytłumaczyć, tym razem pani, że skoro byłem w stanie jeździć na zajęcia, zdawać egzaminy, odbyć praktyki, że w domu funkcjonuję zupełnie samodzielnie i samo w sobie jest uwłaczające, że takie rzeczy trzeba komuś tłumaczyć, że naprawdę zrobienie sobie kawy to nie problem...

Deklarowałem nawet, iż nie muszę już pić tej kawy. Niepełnosprawność pani polegała na tym, że nie potrafiła sobie tego wyobrazić, a w głowie miała strach, że się poparzę i ona za to będzie odpowiadać. W trzeciej pracy, która miała być z osobami słabowidzącymi lub niewidomymi, wszystko przebiegło gładko, za jednym wyjątkiem. Pewna pani dyrektor wyraziła chęć i szczerzy zamiar zatrudnienia mnie na stanowisku psychologa, jednak za darmo, jako wolontariusza, wiadomo, niewidomy lepiej zrozumie niewidomych, a że za darmo to oczywiste. Powinienem zdaniem tej pani czuć wdzięczność już za sam fakt umożliwienia mi zdobywania doświadczenia. Przyznam szczerze, że nie skorzystałem, moja niewdzięczność za tak okazaną „łaskę” była ogromna. I piszę o tym dlatego, aby uświadomić tym, którzy mogliby dać się wmanewrować w taki układ, że praca psychologa jest zajęciem odpowiedzialnym, pochłaniającym sporo energii, czasu i należy się za to sówite wynagrodzenie, nie wspominając już o tym, że nie znam przypadku, aby

elektrownia, gazownia, wodociągi anulowały komuś płatności tylko dlatego, że pracuje za darmo jako psycholog.

Czwarta praca była tym, na czym chciałbym się teraz skupić i pokazać, że widzenie czy niewidzenie nie musi, choć może w specyficznych przypadkach, przeszkadzać w pracy psychologa i nie mam tu na myśli tylko niewidzenia, bo z widzeniem jest dokładnie tak samo, może to być zaleta, ale może to być też przeszkoda.

Pierwsza praca

Było to zupełnie zwyczajnie, ktoś polecił mnie komuś i zadzwoniono do mnie z pytaniem:

- Szuka pan pracy jako psycholog?
- Tak – odpartem zwięźle i zostałem zatrudniony w towarzystwie funkcjonującego w ramach ośrodka terapii uzależnień, a konkretnie w lokalnym klubie Anonimowych Alkoholików. Klub ten, prócz spotkań dla alkoholików, również zatrudniał mnie do indywidualnych konsultacji z ludźmi, którzy tego potrzebowali. Moją rolą po pierwsze było

starać się uświadomić klientowi, że może jednak mieć problem z alkoholem. Po drugie zachęcić do przychodzenia na spotkania anonimowych alkoholików. Po trzecie udzielić szeroko rozumianego wsparcia i – jeśli byłaby taka potrzeba – pokierować do innych specjalistów. Nie zawsze było tak, że przychodzili do mnie tylko alkoholicy, bywali też ludzie z innymi problemami.

Najtrudniejsze było dla mnie pierwsze spotkanie. Jak wypadnę, jak zostaną odebrani, czy mój brak wzroku nie będzie mi przeszkadzał w pracy, czy nie będzie przeszkadzał klientowi? Takie pytania miałem w głowie, gdy pierwszego dnia przyszedłem do klubu AA i dostałem do ręki klucze od własnego gabinetu. Zanim otworzyłem drzwi i urządziłem moje miejsce pracy tak, jak wydawało mi się, że będzie najkorzystniej dla mnie i dla klientów, od pań obsługujących mini kawiarnię i recepcję otrzymałem słowną instrukcję, gdzie co jest, jak z tego korzystać, a gdybym nie zapamiętał wszystkiego od razu, to one tu są, wystarczy wyjść do hallu i zawołać albo





podejść do recepcji. Pokrzepiony tym ludzkim traktowaniem, zająłem się pracą. Nie było źle. Nie będę tu opisywał szczegółowo przebiegu rozmów z klientami, bo nie o to tu chodzi. Przejdę do meritum. Robiłem w pracy jeden wyjątek, chociaż dzisiaj bym go nie robił, chyba, że życzyłby sobie tego mój pracodawca. Tym wyjątkiem było informowanie klientów zaraz po ich wejściu do gabinetu, że jestem osobą niewidomą, będę prowadził z klientem rozmowę i czy mój brak wzroku mu nie przeszkadza. Muszę przyznać, że nigdy nie usłyszałem słowa tak, będzie mi to przeszkadzać. Chociaż raz pijany pan stwierdził:

– Zobaczymy, hahaha.

Piszę o tym, gdyż tak mnie nauczono na studiach, że klient ma prawo wiedzieć o mojej niepełnosprawności, gdyż może się czuć w zderzeniu z nią niekomfortowo, a jak mówi porzekadło „klient nasz pan”. Dziś bym tego nie robił, ponieważ nie czuję się ani lepszy, ani gorszy od innych ludzi. Hydraulik nie informuje mnie przed wejściem do mojego mieszkania, że ma chorobę dwubiegunową, ale się leczy.

Jeżeli klientowi nie odpowiada, że pracuje z nim osoba niewidoma, może zmienić psychologa.

Przejdźmy do poważnych przeszkód

Mit o komunikacji niewerbalnej

Chciałbym teraz rozprawić się z jeszcze jednym mitem, który może być powtarzany w trakcie edukacji, gdyż zakorzenił się dość mocno w literaturze przedmiotu i umysłach ludzi, nawet tych, którzy z psychologią nie mają nic wspólnego, i może być na poważnie brany jako przeszkoda w pracy osoby niewidomej na stanowisku psychologa. Mowa tu o tej części komunikacji, która nazywa się „niewerbalna”. Ponieważ komunikacja jest podstawowym narzędziem dla psychologa w zdobywaniu wiedzy o pacjencie, to jak osoba niewidoma ma sobie poradzić z tym „niewerbalnym” aspektem? Jest to poważny zarzut i sam go brałem kiedyś pod uwagę. Okazało się jednak, że nie ma potrzeby tak się tym przejmować, gdyż to rozmowa jest tą częścią komunikacji, przez którą psycholog najczęściej zdobywa

wiedzę o pacjencie. A rozmowa to aspekt werbalny, o wszystko można dopytać, trzeba tylko umieć aktywnie słuchać, parafrazować, odzwierciedlać, dopytywać i używać całej gamy jak najbardziej werbalnych narzędzi. Są jednak tacy, którzy twierdzą, że ucieka jednak sporo informacji, gdy się nie widzi. Czyżby? Przyjrzyjmy się „niewerbalnemu” aspektowi, ile się może z niego dowiedzieć osoba niewidoma. Po pierwsze proksemika, jak najbardziej do usłyszenia, wystarczy tylko stworzyć dogodne warunki, aby klient mógł sam zdecydować, jak daleko chce od nas usiąść. Po drugie parajęzyk – niewerbalny, ale słyszalny, jest to przecież ton, natężenie głosu, rozmaite wstawki i inne aspekty, które mówią bardzo dużo o przeżywanych emocjach. Dla mnie zawsze to było wystarczająco dużo informacji, aby rozpoznać stan emocjonalny czy nastrój pacjenta, jego wzburzenie, przygnębienie itp. Po trzecie kinezjetyka, tu może nie wszystko słyszać, jednak, gdy jest to spotkanie na żywo, a nie przez internetowe media, też można sporo wystyszczyć – czy osoba się wierci, czy porusza ciałem w trakcie rozmowy, kręci głową, odwraca się od nas, gdy mówi o rzeczach trudnych. Może nie jest to sto procent informacji, ale nie sądzę, aby widzący psycholog też zwracał uwagę na sto procent bodźców, sporo z nich to przecież szum informacyjny. Można z mimiką mieć kłopot, jednak moim zdaniem dźwięk tutaj zapewnia też wystarczającą ilość informacji. Słysząc, czy ktoś się uśmiecha, czy jest zakłopotany. Nawet, jeśli ta część przekazu miałaby być całkowicie poza dostępnnością niewidomej osoby, to nigdy w pracy nie odczułem niedoboru informacji, które mogłyby zaważyć na diagnozie lub pomaganiu osobie. Podsumowując kwestię komunikacji werbalnej i niewerbalnej, pragnę przytoczyć znane i dość bezmyślnie powielane

stwierdzenie, że w komunikacji międzyludzkiej 7 procent to słowa, 38 procent to brzmienie głosu, a aż 55 procent to zachowania niewerbalne. Może i to jest prawda. Jednak dziwi mnie w takim razie fakt, że ludzie są w stanie w ogóle porozumiewać się przez telefon, radio, czytać książki, rozmawiać ze sobą, nie widząc siebie. Przecież aż 58 procent informacji powinno być niezrozumiałych, gdyż wypada z percepcji. A tak się nie dzieje. Gdyby tak było, to podczas czytania tego artykułu powinno dotrzeć do naszego mózgu tylko 7 procent treści. Przecież słowo pisane to komunikacja werbalna. Ktoś dość mocno przecenił znaczenie komunikacji niewerbalnej.

Inne przeszkody

Myślę, że kwestie niedoboru informacji udało mi się rozwiązać na korzyść tych osób, które chciałyby pracować jako psychologowie i zaglądać po ciemku w duszę innych ludzi. Ale czy są jakieś inne pułapki? Z mojego doświadczenia wynika, że kilka możemy spotkać. Jednak jest to moja opinia i inna osoba mogłaby znaleźć w swoim zakresie jakieś rozwiązanie. Uważam, że trudną sprawą, gdy się jest niewidomym psychologiem, jest ogarnianie całej dokumentacji, która często nie jest elektroniczna, a jeśli nawet jest, to formularze lub oprogramowanie wcale nie musi być współpracujące z czytnikami ekranu. Nie jest to problem nie do przejścia, jednak wymaga dodatkowej pracy i czasu. Nierzadko trzeba skorzystać z pomocy osoby widzącej. Inną trudną sprawą jest cała dziedzina psychologii, która wykorzystuje do diagnozy rozmaite testy psychologiczne. Tutaj też mamy problem z wypełnieniem takiego testu, gdyż najczęściej jest on w formie papierowej, którą po wypełnieniu przez

pacjenta i tak ktoś musi nam przewidywać, abyśmy mogli w komputerze obliczyć wyniki, sprawdzić skale itp. Nawet, jeśli taki test mamy przygotowany wcześniej w wersji elektronicznej, to moim zdaniem, nie jest to już to samo co kartka i ołówek. W tej sytuacji mogę się zgodzić, że jakaś część diagnostycznej informacji o pacjencie może nam umykać, gdyż nie zobaczymy, w jaki sposób pisze, ile skreśleń zrobi itp. Są, oczywiście, też elektroniczne wersje testów – programy, w których wyniki, skale i inne rzeczy same się liczą, nam pozostaje jedynie interpretować. Jednak tutaj mamy podobną sytuację jak w przypadku dokumentacji, te programy zwykle są niedostępne dla czytelników ekranu. Jeszcze trudniej będziemy mieli, gdy zechcemy przeprowadzić testy projekcyjne. Niektóre z nich są co prawda werbalne, np. test niedokończonych zdań, jednak znakomita większość testów projekcyjnych jest graficzna, np. rysunek drzewa, który to dostarcza mnóstwa informacji o pacjencie, jednak aby być w stanie go zinterpretować, trzeba go widzieć.

Dla mnie taką rzeczą nie do przejścia była praca z osobami nastoletnimi i dziećmi. Dla zrozumienia całości sytuacji w przypadku tych osób, moim zdaniem, potrzebny jest wzrok, ale może są niewidomi psychologowie, którzy radzą sobie i na tym polu, mając własne patenty.

Podsumujmy i porozmawiajmy

Zostało napisane już o tym, co wydaje się być przeszkodą, a nią nie jest, o tym, co naprawdę może być przeszkodą, o tym, że czasami ludzie tworzą bariery tam, gdzie ich nie ma, o tym, że być psychologiem i zagłębiać w duszę po ciemku, aby pomóc innym, jak najbardziej można. Czas na to, aby przyjrzeć się temu, co mają do powiedzenia Pani Aneta, która jest psychologiem oraz Pani Jolanta, która jest psychologiem i prezesem Fundacji Vis Maior, działającej na rzecz osób niewidomych. Obie panie nie widzą, obie panie – podobnie jak ja – są pewne tego, że osoba niewidoma może pracować w zawodzie psychologa, biorąc udział w diagnozie, szkoleniach, prowadząc terapie, czy poradnictwie. Pani Jolanta pracowała



z osobami doświadczającymi przemocy, zarówno prowadząc spotkania grupowe, jak i indywidualne, pomagała również osobom uzależnionym, udzielała się też przez Internet, prowadząc z osobami potrzebującymi psychologa korespondencje drogą mailową.

– W tej sytuacji widzenie w ogóle nie jest potrzebne – mówi Pani Jolanta. – Jeden raz zdarzyło mi się, że pewien pan napisał do mnie, że przeszkadzało mu to, że nie mógł nawiązać ze mną kontaktu wzrokowego. Opinii było dużo, a to była tylko jedna negatywna, ludzie zazwyczaj chwalili, że zajęcia, które prowadziłam, były zrozumiałe i praktyczne. Osoby, które doświadczyły przemocy, mówiły, że widać, że jestem osobą, która też w życiu wiele doświadczyła i jakoś to ogarnęła, więc jestem dla nich wiarygodna. Osoby uzależnione często mi mówiły, że przez to, że nie widzę, mogą być przy mnie bardziej anonimowe, że mogą mi powiedzieć więcej, bo nie rozpoznam ich na ulicy. Niewidzenie to nie tylko minusy, są też plusy i to ogromne. Jeśli chodzi o przyjmowanie na różne zajęcia, to bywa różnie. Zwykle osoby przyjmują cię na różne szkolenia psychoterapeutyczne, raz jednak zdarzyło mi się, że nie mnie nie chcieli. To znaczy próbowali tak zrobić, abym sama podjęła decyzję, twierdząc, że nie będę widziała wszystkiego, co ktoś robi. W każdym kontakcie nie widzę, jaką ludzie mają mimikę i nie przeszkadza mi to w tym, aby mieć z nimi dobre relacje. Moim zdaniem – kategorięcznie mówi Pani Jolanta – do diagnozy nie jest potrzebny wzrok. Nie może to jednak być też kontakt telefoniczny, bo różne rzeczy załapiesz w kontakcie bezpośrednim, typu odległość, sposób siedzenia tej osoby... Oczywiście to, jaką ma mimikę, trochę wyłapiesz z tonu głosu. Rzecz jasna należy omówić z pacjentem swoje

niewidzenie, jak się już wpadnie na tę minę, bo to może być ważne dla pacjenta. Jeśli dobrze się omówi to niewidzenie, to może to być dla pacjenta pomocne w dalszej współpracy.

– Rozumiem, że Pani pyta, czy niewidzenie będzie przeszkadzać pacjentowi?

– Nie, nie pytam. Po prostu, w którymś momencie to omawiałam. Czasami ludzie mówili o tym, że nie widzę, a czasami nie. W każdym razie, jak stawało się to tematem, wtedy to omawiałam.

– A co było dla Pani wyzwaniem w pracy, tak na początku?

– Wyzwaniem dla mnie to było to, że przyjechałam do dużego obcego miasta, że go nie znałam, że szukałam pracy, że ludzie, którzy ze mną rozmawiali, często mieli uprzedzenia, że jako ważne elementy pracy psychologa wymyślali coś, co jest totalnie nieistotne. Np. jedna pani mówiła, że najważniejsze jest to, abym się podpisała w kratce i nikt mi w tym nie może pomóc. Miałam kilka takich dziwnych sytuacji. Wydaje mi się, że często dla potencjalnego pracodawcy jest dużo większym problemem, jest to, że jestem niewidoma niż dla pacjentów. Dla nas ważne jest to, że trzeba więcej szukać, poświęcić na wszystko więcej czasu i mieć mocne oparcie w sobie i poczucie własnej wartości. Trzeba też na rozmowie kwalifikacyjnej szybciej zacząć, bo rozmówcy są skupieni na naszej osobie i trzeba im powiedzieć, że się nie widzi i co z tego wynika dla nich i dla nas w kontekście pracy.

– A czy Pani zdaniem brak wzroku może stanowić problem w pracy z dziećmi, młodzieżą, czy może lepiej pracuje się z osobami dorosłymi?

– Pracowałam również z dziećmi, pracowałam w szkołach, prowadziłam zajęcia. Pozytywy

są takie, że dzieci, te przedszkolne, są bardzo różnymi rzeczami zainteresowane i one nie mają uprzedzeń. Nawet, jak o coś pytają, to z tyłu głowy nie ma już odpowiedzi. Negatyw jest taki, że nad dużą grupą nie ma kontroli – zwłaszcza, jak dzieci są daleko. O wiele łatwiej jest, gdy się pracuje z jednym dzieckiem. Wtedy można być blisko i mieć wszystko pod kontrolą.

– A czy Pani zdaniem lepiej jest, jak psycholog widzi, czy nie widzi?

– Myślę, że to nie ma znaczenia, są inne rzeczy, które o tym decydują, np. samoświadomość człowieka, doświadczenie, umiejętność obserwacji. To od człowieka to zależy, jaki ma w sobie wgląd, co czuje, bo to też jest podpowiedzią.

– A z kim woli Pani bardziej pracować: z widzącymi, czy niewidomymi?

– To nie o to chodzi, bo ja uczyłam się razem z osobami widzącymi. Nie czuję się specjalnie zakotwiczona w środowisku ludzi widzących czy niewidomych. Bardziej muszę omawiać to, że jestem prezesem fundacji, jak przychodzi do mnie osoba niewidoma niż to, że nie widzę z osobą widzącą. Dla niewidomych często jestem prezeską, z którą można coś załatwić i to trzeba dużo silniej omawiać, bo to jest problem dla ludzi, że nie jestem dla nich taką neutralną osobą. Dla ludzi widzących to nie ma znaczenia.

Pani Jolancie na razie dziękujemy, a głos oddajemy Pani Anecie.

Jak już zostało napisane, Pani Aneta również nie widzi problemu, aby po ciemku można było zaglądać do ludzkiej duszy. Uważa jednak, że łatwiej jest prowadzić spotkania indywidualne niż grupowe.

– Dlaczego tak się dzieje, Pani Aneto?

– Dlatego, że trudniej jest jednak zapanować nad grupą, gdy się nie widzi.

Nie prowadzę terapii grupowej nie dlatego, że jest to niemożliwe, ale dlatego, że jest to w znacznym stopniu utrudnione. W kontakcie jeden na jeden łatwiej jest wyłapać różne niuanse.

– A czy miała pani jakieś trudności z przełamywaniem siebie w pracy psychologa z powodu niewidzenia?

– Ja nie miałam, ale pracowałam kiedyś z pewną osobą, która z racji tego, że zajmowała się filmami animowanymi, powiedziała mi, że jej jest trudno ze mną pracować, bo trudno jej przełożyć na język dokładnie to, co czuje. Skierowałam ją w takiej sytuacji do osoby widzącej, chociaż uważam, że byłoby dla tej osoby w drugim etapie terapii bardziej rozwojowe, gdyby pracowała ze mną, bo musiałaby się nauczyć bardziej werbalizować to, co czuje.

– A jak sobie radzi pani z niewerbalną częścią komunikacji?

– Staram się skupiać na tym, co da się usłyszeć. Np. ktoś robi duże przerwy, zanim zacznie mówić. To jest trochę niewerbalne. Raczej niewiele mogę odczytać z komunikacji niewerbalnej, ale uważam, że można się bez niej obyć. Nie jest to potrzebne, aby komuś pomóc. Przychodzą do mnie czasami osoby, które były wcześniej u widzącego psychologa z dostępem do komunikacji niewerbalnej, a jednak coś mu nie szło. Był kiedyś u mnie pacjent, który wcześniej chodził do widzącego psychologa i powiedział mi, że z tamtym to tragedia, w ogóle nie idzie się dogadać, a tutaj był zadowolony. Oczywiście w drugą stronę też to działa. Najważniejszy jest kontakt.

– A czy informuje pani pacjentów na początku, że jest niewidoma?

– Nie, raz tylko pracowałam u pracodawcy, który kazał mi to mówić, wychodząc



z założenia, że pacjent nie może czuć się zaskoczony. Ja nie mówię, bo pacjenci są po pierwsze skoncentrowani na sobie, nie na mnie, a po drugie myślą, że nie dowidzę albo w ogóle nie zwracają na to uwagi. Czasami ktoś zapyta – raczej z ciekawości. Ja nie mówię, niech przyjdzie najpierw i zobaczy, niech sprawdzi, czy mu to odpowiada.

– A czy brak wzroku jest wadą czy zaletą?

– To zależy od osoby. Niektórym przeszkadza brak możliwości odczytywania komunikatów niewerbalnych, innym nie. Czy zaletą wprost mi nikt nie powiedział, ale wiem z rozmów między ludźmi, że mówią: „Jak nie widzi, to nie ocenia po wyglądzie, nie rozpozna na ulicy”, co ma znaczenie szczególnie w małym mieście. Robiłam kiedyś ankiety, co ludziom pomaga w gabinecie. Niektórzy pisali, że akceptacja im pomaga i jest ważna, takie rzeczy.

– Od dwóch lat mamy w kraju podwyższony reżim sanitarny; wiele rozmów odbywa się drogą internetową lub telefoniczną. Jak to się ma do Pani pracy jako osoby niewidomej?

– Plusem na pewno jest to, że nie trzeba nigdzie jeździć, jest łatwiej w ten sposób.

Na dłuższą metę jednak nie jest to takie dobre. W kontakcie, jak jest za dużo tych teleporad, to jednak męczy. Raz w tygodniu można przez telefon popracować. Obecna sytuacja na świecie pokazała, że kontakt wzrokowy został zdecydowanie w naszej pracy przeceniony. Najważniejszy jest człowiek i jego umiejętności.

Podsumowanie

Tak więc ci, którzy mogliby mieć obawy, czy praca psychologa po ciemku to dobry pomysł, chyba nie powinni mieć już wątpliwości. Ufam też, że ci, którzy chcieliby zatrudnić osobę niewidomą na tym stanowisku, nie będą mnożyć abstrakcyjnych trudności, ale pozwolą się wykazać i sprawdzić zatrudnionej osobie w boju. Bowiemy można, tylko wymaga to więcej siły, więcej czasu i rozwijania własnych kompetencji – tak zawodowych, jak i osobistych. Pamiętajmy jeszcze o jednym: główny argument, czyli brak informacji o tym, co niewerbalne, jest prawdziwy, ale mocno przeszacowany i w tym zawodzie wcale nie najważniejszy.



Kinga Łaniak

Przekład z za zasłony mroku – niewidomi w branży tłumaczeniowej

Czego potrzeba, aby zostać dobrym tłumaczem? Czy ten zawód może z powodzeniem i bez większych przeszkód wykonywać osoba niewidoma? Jak zapewne wszyscy wiemy, tłumaczenie jest głównie operacją na językach i tekstach. Każdy tłumacz musi więc biegle posługiwać się zarówno językiem obcym, jak i rodzimym.

Oczywiście sama znajomość języków to zdecydowanie za mało. Każdemu tłumaczowi niezbędna jest wysoka wrażliwość na język i stylistykę, umiejętność przestrzegania zasad gramatyki i interpunkcji każdego z języków, w których tłumaczymy, a także znajomość kontekstu kulturowego. Tłumaczom ustnym przyda się też na pewno komunikatywność,

dobra pamięć czy umiejętność robienia pomocnych notatek w trakcie pracy. Można by tu wyszczególnić jeszcze mnóstwo innych predyspozycji, jednakże wśród tych wszystkich czynników, dobry wzrok właściwie nie jest wymieniany. Czy więc oznacza to, że osoby niewidome, pragnące zostać tłumaczami, nie mają się o co martwić?

Jako absolwentka filologii angielskiej, zainteresowana tłumaczeniami, postanowiłam zbadać ten temat. Osobiście doświadczyłam kilku lepiej lub gorzej zakończonych sytuacji, związanych z pracą w tym zawodzie, które tu opiszę. Nie będę jednak, rzecz jasna, polegać wyłącznie na własnych przygodach. Udało mi się porozmawiać z kilkoma osobami niewidomymi, wykonującymi zawód tłumacza, a także z ludźmi zainteresowanymi taką pracą. Ich przemyślenia i opinie okazały się dla mnie niezwykle pomocne w wyrobieniu sobie poglądu na pracę tłumacza z perspektywy osób niewidomych.

Jak możemy podzielić tłumaczenie?

Można powiedzieć, że tłumaczenie łączy w sobie znajomość języków oraz umiejętność przełożenia sensu i znaczenia słów ponad językową barierą, wyrażania myśli sformułowanych w jednym języku przy pomocy drugiego. Istnieje jednak wiele definicji tłumaczenia, gdyż na tę bardzo złożoną i skomplikowaną pracę spojrzeć trzeba z wielu różnych perspektyw. Właśnie dlatego tłumaczenie możemy podzielić na kilka sposobów, w zależności od natury i charakteru wykonywanych przez tłumacza zadań. Najprostszy i najbardziej oczywisty podział dokonywany jest ze względu na sposób pracy; mamy więc tłumaczenia ustne i pisemne. Zarówno jedno jak i drugie dzielą się na zwykłe – nie zawierające sformułowań technicznych czy słownictwa zarezerwowanego dla konkretnej branży (np. teksty reklamowe), specjalistyczne – techniczne, prawnicze, medyczne, ekonomiczne, informatyczne itd., a także tłumaczenia przysięgłe, do wykonywania których należy potwierdzić swoje umiejętności zdając egzamin na tłumacza przysięgłego, organizowany przez ministerstwo sprawiedliwości. Słyszałam o jednej osobie niewidomej w Polsce, która taki egzamin zdała, było to jednak przed laty i osoba ta twierdzi, iż nie czuje się kompetentna do komentowania dzisiejszej formy czy dostępności tego egzaminu pod kątem niewidomych.

Wśród tłumaczeń ustnych rozróżniamy kilka rodzajów. Tłumaczenie konsekutywne to takie, w którym tekst przemowy dzielony jest na krótsze fragmenty; tłumacz wysłuchuje konkretnego fragmentu i tłumaczy go, gdy mówca zrobi pauzę. Tłumacz może posiłkować się robionymi na bieżąco notatkami lub

też własną pamięcią. Według mnie, jest to najwygodniejsza forma dla niewidomych tłumaczy ustnych. Ja i moje koleżanki niejednokrotnie wykonywałyśmy tłumaczenie konsekutywne podczas trwającego tydzień, międzynarodowego projektu organizowanego przez Polski Związek Niewidomych we współpracy z podobnymi organizacjami w Czechach i Austrii. Wśród uczestników projektu obecne były osoby nie potrafiące posługiwać się językiem angielskim, w którym odbywały się różnorakie spotkania, dlatego tłumaczenie było niezbędne. Z większością prowadzących te spotkania wypracowaliśmy właśnie konsekutywną formę tłumaczenia, chociaż wtedy jeszcze nawet nie wiedziałam, że tak to się nazywa. Poza mną w gronie uczestników projektu było jeszcze kilka osób znających język angielski, więc zmienialiśmy się przy pracy. Muszę zaznaczyć, że prelegenci, z którymi współpracowałam, byli naprawdę mili i pomocni. Starali się robić pauzy w odpowiednich miejscach, a ilekroć potrzebowałam dłuższej lub częstszej przerwy na przetłumaczenie czegoś, wystarczyło tylko dać im znać. Notatek nie robiłam, bo Pan Bóg obdarzył mnie na tyle dobrą pamięcią, że ich nie potrzebowałam, zresztą chyba nawet nie byłoby na to czasu. Najciekawszą, a zarazem najbardziej stresującą przygodą, jaka spotkała mnie podczas takiego tłumaczenia, było zwiedzanie Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Wiedniu. Pani przewodniczka, która nas oprowadzała, była niezwykle zaangażowana i starała się pokazać nam jak najwięcej z tego, co znajdowało się w muzeum. Jej opowieści były barwne i szczegółowe, a tak się złożyło, że akurat mnie wyznaczono do ich tłumaczenia. Wszystko szło dobrze aż do chwili, kiedy przewodniczka w najmniejszych detalach

zaczęła opisywać nam wiszący na ścianie portret którejś z austriackich księżniczek. I tu właśnie zaczęły się schody... Takie szczegółowe opisy są bardzo ciekawe dla osoby niewidomej, toteż nie mogłam nie docenić pani przewodniczki za jej kreatywność i dobre chęci, jednak przełożenie czegoś takiego na bieżąco nastąpiło mi sporo trudności. Ciężko bowiem opowiadać o obrazie, którego nie można zobaczyć; dobra pamięć dobrą pamięcią, ale kolory, wygląd oraz elementy ubioru, kierunki i orientacja w przestrzeni... to już zupełnie inna sprawa. Na szczęście przebywały z nami słabowidzące koleżanki, które podpowiadały mi, co i gdzie się dokładnie znajduje, tłumaczyły, że rękawy sukni księżniczki są bufiaste i jaki kolor mają jej koronki, a także uważały, żebym nie pomyliła prawej strony obrazu z lewą. Wspólnie przebrnęliśmy więc przez tę przeszkodę. Uświadomiło mi to jednak, że niewidomy tłumacz ustny może napotkać sytuacje, w których trudno będzie poradzić sobie samodzielnie. Już samo opowiadanie w zrozumiałym sposób o czymś, czego nie widzimy, to twardy orzech do zgryzienia, a co dopiero próba przełożenia takiego opisu z jednego języka na inny. Nie wyobrażam sobie, jak niewidomi radzą sobie w sytuacji, gdy podczas tłumaczenia muszą wyjaśniać, co znajduje się na prezentacji czy wykresie. Przypuszczam, że wszystko zależy od tego, z kim pracujemy. Jeśli trafimy na pomocnych współpracowników, zapewne da się wymyślić jakieś rozwiązanie tego problemu. Wracając jednak do tłumaczenia konsekwentnego, możliwość spróbowania swoich sił w tej dziedzinie była dla mnie ciekawym i niezwykle miłym doświadczeniem. Największą chyba wadę takiej formy stanowi fakt, że wystąpienia tłumaczone w ten sposób są oczywiście

znacznie rozciągnięte w czasie, toteż obecnie tłumaczenia konsekwentne są coraz rzadsze i mniej pożądane na rynku pracy.

Drugą główną gałęzią tłumaczeń ustnych są tłumaczenia symultaniczne, czyli takie, podczas których tłumacz dokonuje przekładu równocześnie z wypowiedzią mówcy. Takie tłumaczenia są często nazywane tłumaczeniami kabinowymi, ponieważ obecnie wykonuje się je zwykle w specjalnie do tego celu przygotowanych, profesjonalnych kabinach. W trakcie spotkania, zebrania czy konferencji, tłumacz zasiada w takiej właśnie kabinie, słyszy wypowiedź mówcy w słuchawkach i dokonuje przekładu do mikrofonu. Uczestnicy spotkania, którzy potrzebują tłumaczenia, również dostają zwykle słuchawki, w których słyszą przekład. Jest to bardzo wyczerpująca forma pracy; wymaga nie tylko biegłej znajomości języków i szerokiego zasobu słownictwa, lecz przede wszystkim ogromnego skupienia i odporności na stres. Tłumacz musi właściwie jednocześnie usłyszeć wygłoszony w obcym języku komunikat, zrozumieć go, przetłumaczyć w myślach i głośno wypowiedzieć tłumaczenie. Nie wolno przy tym zapominać o różnorodności akcentów, wadach wymowy, różnym stylu i sposobie wypowiedzi, jakie można napotkać u różnych przemawiających i jakie jeszcze bardziej komplikują tłumaczowi robotę. Ze względu na wyjątkowo trudny charakter tego zadania, tłumacze symultaniczni pracują zazwyczaj w parach i zmieniają się co pewien określony czas. Tłumacze kabinowi dostają też najczęściej skrypty poszczególnych mów, z którymi mogą zapoznać się wcześniej. Nie zawsze jednak tak jest. Pamiętam swoją wizytę w Parlamencie Europejskim w Strasburgu, gdzie mogłam obserwować pracę dwóch tłumaczek kabinowych. Szło im



świetnie, jednak podczas przemowy jednego z polityków, tłumaczki zaczęły zachowywać się bardziej niepewnie – tłumaczyły wolniej, częściej się zacięły, miały niekiedy trudność z doбором słów. Później dowiedziałam się, że to dlatego, iż polityk ten zapomniał przestać im skryptu swojej mowy, nie mogły więc wcześniej ani trochę się przygotować. Tym bardziej byłam pełna podziwu i szacunku dla nich oraz ich pracy. Osobiście nie znam żadnej osoby niewidomej, wykonującej tłumaczenia kabinowe, chociaż słyszałam o kilku, które się tego podejmują. Sama nigdy nie siedziałam w kabinie tłumaczeniowej, jednakże podczas wyżej wspomnianego już projektu miałam okazję praktykować inną odmianę tłumaczenia symultanicznego, jaką jest tłumaczenie szeptane. Jak sama nazwa wskazuje, polega ono na tym, że tłumacz siedzi obok swojego rozmówcy i szepcząc mu do ucha przekłada to, o czym jest mowa

na spotkaniu. Naturalnie tłumaczenie takie robione jest dla jednego, ewentualnie dla małej garstki słuchaczy. Tłumacz musi uważać, aby swoim szeptem nie zakłócić innym przebiegu spotkania i jednocześnie zostać dostatecznie dobrze usłyszany przez tych, dla których tłumaczy. Wymaga to koncentracji i podzielnej uwagi, tłumacz rzadko może też znaleźć chwilę na złapanie oddechu czy zwilżenie wyschniętego gardła. W moim przypadku dodatkowym obciążeniem był hałas, który często towarzyszył zgromadzeniom projektowym; po kilku takich tłumaczeniach zdarzało mi się więc nabawić bólu głowy. Tworem pośrednim pomiędzy tłumaczeniem ustnym a pisemnym jest natomiast tzw. tłumaczenie a vista, polegające na tym, że tłumacz otrzymuje tekst na piśmie, które musi przeczytać i głośno przetłumaczyć. Nie ma jednak czasu na wcześniejsze zapoznanie się z otrzymywaną treścią. Tłumaczenia takie

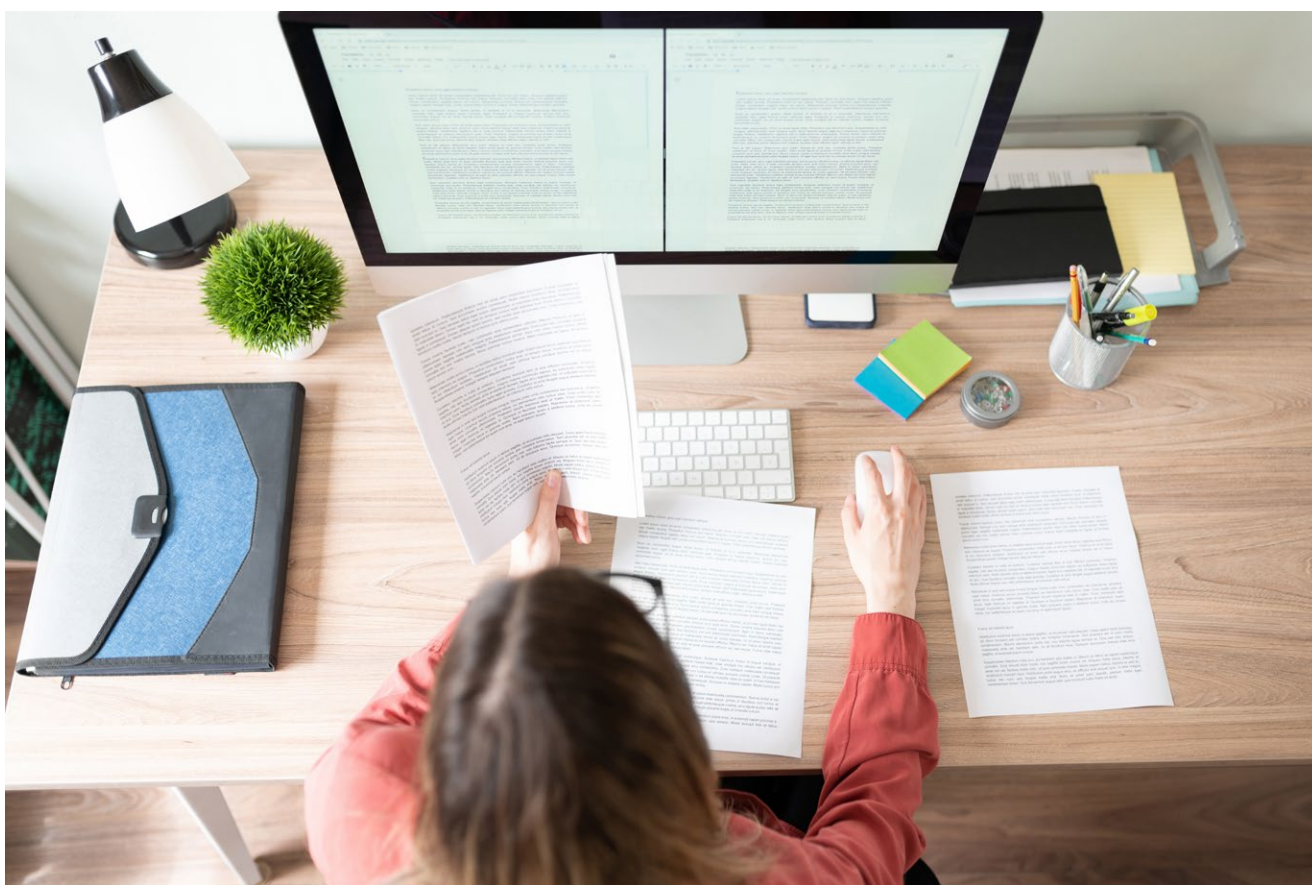
najczęściej wykonywane są w sądzie, urzędach czy u notariusza.[2] Przypuszczam, że tłumacze dostają pisma do przekładu a vista raczej w formie papierowej, osobie niewidomej byłoby więc trudno wykonywać tego typu pracę, chyba, że urzędnicy bądź przedstawiciele prawa zgodziliby się udostępniać jej dokumenty w formie elektronicznej. Jednak nawet w takim przypadku zajęłoby to zapewne więcej czasu niż potrzebuje tłumacz widzący.

Tłumaczenia pisemne można z kolei podzielić ze względu na rodzaj, formę i styl tłumaczonego tekstu. Oprócz przekładu treści biznesowych czy technicznych, mamy więc np. przekład literacki i przekład poezji. Te ostatnie wymagają od tłumacza kreatywności, wrażliwości, poczucia estetyki językowej, znajomości realiów kulturowych, religijnych czy historycznych języka, w którym powstał oryginalny utwór i umiejętności właściwego przełożenia ich na język docelowy. Tłumacz literacki jest więc

nie tylko tłumaczem, lecz także artystą; nie bez przyczyny mówi się o “sztuce przekładu”. Istnieją też tłumaczenia audiowizualne, czyli przekład treści dialogów bądź kwestii lektora dla adaptacji obcojęzycznych filmów czy seriali.

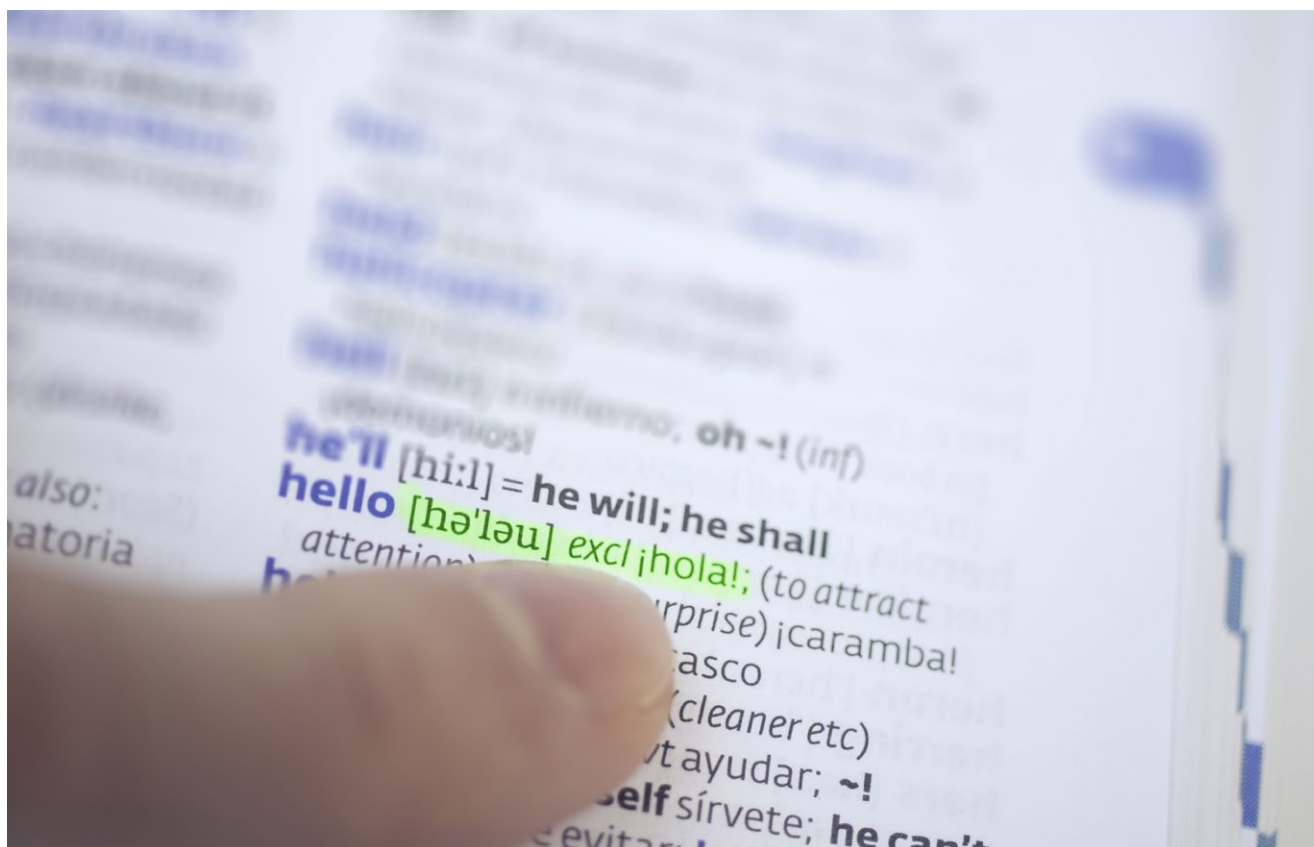
CAT – największa bolączka niewidomych tłumaczy

Ostatnim rodzajem tłumaczeń pisemnych, o którym chcę tu wspomnieć, są tzw. tłumaczenia wspomagane komputerowo. Nie jest to bynajmniej to samo, co tłumaczenie maszynowe, czyli wykonywane w całości przez narzędzia online, takie jak znany wszystkim powszechnie tłumacz Google. Wielu z nas niejednokrotnie zauważyło być może, jak zabawne błędy potrafią robić tego typu aplikacje, zwłaszcza podczas tłumaczenia związków frazeologicznych czy idiomów. Chociaż więc działają one i tak coraz lepiej, nie są, póki co, w stanie zastąpić człowieka,



dlatego używa się ich głównie do podstawowej komunikacji tudzież prostego przełożenia niewymagających doprecyzowania tekstów użytkowych. Tłumaczenie wspomagane komputerowo to zupełnie co innego. Jest to połączenie ludzkich umiejętności z rozwiązaniami technologicznymi. Powstały specjalnie w tym celu zaprojektowane programy komputerowe, zwane zbiorczo narzędziami CAT (ang. Computer Assisted Translation). Pod tym dość tajemniczo brzmiącym określeniem kryją się zaawansowane programy, które potrafią zapamiętać fragmenty tłumaczonego tekstu, zwane segmentami. Tłumacz może zapisywać takie segmenty i używać ich podczas późniejszych tłumaczeń, dzięki czemu nie trzeba przekładać tego samego po kilka razy. Pozwala to niewątpliwie oszczędzić sporo czasu. Dodatkowo, narzędzia CAT umożliwiają stworzenie tzw. baz słownikowych bądź terminologicznych, czyli listy słów i zwrotów używanych przy różnych tłumaczeniach. Tłumacz może dowolnie modyfikować taką bazę, zmieniać ją, zmniejszać i powiększać wedle własnych potrzeb. Bazy słownikowe są wygodne zwłaszcza dla dużych biur tłumaczeniowych, rekrutujących wielu pracowników. Wystarczy, żeby każdy pracownik zainstalował sobie narzędzie CAT, na którym pracuje dane biuro i już można wymieniać się między sobą bazami terminologicznymi, a nawet dzielić się fragmentami pracy. Dzięki temu można łatwo uniknąć rozbieżności między określeniami używanymi przez poszczególnych tłumaczy, a także znacznie przyspieszyć pracę. Narzędzia CAT stają się obecnie coraz bardziej popularne, a ja, niestety, dość brutalnie potknęłam się o jedno z nich, o którym będzie tu mowa najwięcej. Zacznijmy jednak od początku.

Jakiś czas temu zaproponowano mi pracę w dość dużej korporacji tłumaczeniowej, do której złożyłam CV. Moja aplikacja została rozpatrzona pozytywnie, poproszono mnie zatem o dokonanie próbnego tłumaczenia nadesłanych tekstów z zakresu prawa i finansów. Wykonane przeze mnie próbki również musiały uzyskać dobrą ocenę, ponieważ jako jedna z nielicznych kandydatek zostałam, ku swemu ogromnemu zadowoleniu, zaproszona na rozmowę kwalifikacyjną do Warszawy. Wszystko było już dopięte na prawie ostatni guzik, a ja, podekscytowana jak rzadko, czekałam na swoją wielką szansę. Brakowało tylko doprecyzowania kilku szczegółów, w sprawie których kontaktowałam się mailowo z osobą prowadzącą rekrutację. Jedną z kluczowych kwestii było to, czy potrafię pracować w programie Trados. Niestety, nie potrafiłam; mało tego, nigdy wcześniej nie słyszałam o tym programie. Nie należę jednak do osób, które łatwo się poddają, toteż postanowiłam sprawdzić, z czym to się właściwie je. Odkryłam, że Trados jest wiodącym i naprawdę rozbudowanym narzędziem CAT, wyposażonym w masę rozmaitych funkcji. Program ten używany jest przez większość korporacji tłumaczeniowych na rynku, a licencja na niego kosztuje kilka tysięcy złotych. Na szczęście jest możliwość zainstalowania darmowej wersji próbnej, z której można korzystać przez miesiąc. Tak też zrobiłam. Po zainstalowaniu demonstracyjnej wersji Tradosa, z ciekawością zaczęłam się z nim zapoznawać, i tu moje szczęście przysło niczym bańka mydlana. Okazało się bowiem, że ten popularny i wysoce rozwinięty program w żaden sposób nie zamierza współpracować z czytnikiem ekranu, którego używam. Zaniepokojona, poszukałam porady



na grupie dla osób niewidomych na Facebooku. W odpowiedzi na mój post, skontaktował się ze mną człowiek prowadzący firmę tyfloinformatyczną, szkolącą osoby niewidome i słabowidzące z zakresu nowoczesnych technologii. Poinformował mnie on, że nie jestem jedyną osobą uskarżającą się na brak dostępności Tradosa, a następnie wyjaśnił, iż jest to w znacznej mierze program graficzny, przez co czytniki ekranu kiepsko sobie z nim radzą. Dodatkowy problem stanowi wysoki koszt licencji, co sprawia, że programiści piszący wtyczki do czytników ekranu nie posiadają środków finansowych na próbę stworzenia wtyczki poprawiającej dostępność Tradosa. Od innych zainteresowanych tematem osób dowiedziałam się, iż tak właśnie wygląda sprawa z większością narzędzi CAT w Polsce i na świecie. Jedynym dostępnym dla nas programem jest Fluency Now, wyprodukowane przez firmę Western Technologies, ale to z kolei program dość niszowy, stosowany przez

nieliczne firmy w naszym kraju. Wyjaśniłam więc całą sytuację rekrutującej mnie korporacji i wyraziłam chęć poszukania wraz z nimi innych rozwiązań problemu. Po pewnym, dosyć długim, czasie otrzymałam zwięzłą, lakoniczną wręcz odpowiedź. Osoba odpowiedzialna za rekrutację poinformowała mnie z przykrością, iż jej pracodawcy uznali, że w takich okolicznościach nie poradzą sobie na stanowisku pracy oferowanym przez ich firmę. Na nic zdała się moja wiedza i umiejętności tłumaczeniowe, na nic poszukiwanie rozwiązań! Poległam na niedostępnym dla mnie zupełnie programie komputerowym i nie mogę ukryć zawodu. Doskonale zdaję sobie sprawę, że nie jestem jedyną osobą niewidomą, którą spotkała podobna historia. Pracodawcy, w szczególności właściciele wielkich korporacji, są nastawieni przede wszystkim na zysk i tego głównie oczekują od swoich pracowników, którzy powinni być praktycznie bezproblemowi i przynosić firmie finansowe korzyści. Niewielu

jest pracodawców skłonnych do poświęcenia dodatkowego czasu bądź też pieniędzy dla pracownika ze specjalnymi potrzebami, przy czym kompetencje zawodowe takiego pracownika zdają się nie mieć w tym wszystkim większego znaczenia.

Zupełnie inaczej przedstawiał się półroczny staż, jaki odbyłam w niewielkim krakowskim biurze tłumaczeń. Staż organizowany był w ramach jednego z projektów PFRON, stąd też pochodziły pieniądze na moje wynagrodzenie. Właścicielka biura była naprawdę sympatyczna. Pracowałam zdalnie i co jakiś czas dostawałam od niej dokument do przetłumaczenia, w formie tekstowej lub w formie skanu, który rozpoznawałam specjalnie do tego przeznaczonym programem Abby FineReader. Ci z nas, którzy w różnych okolicznościach zetknęli się ze skanami dokumentów wiedzą na pewno doskonale, że podczas rozpoznawania takiego skanu często gęsto pojawiają się literówki. Na szczęście, w moim przypadku nie było ich aż tak wiele, a te, które znajdowałam, potrafiłam domyślnie rozszyfrować. Najważniejszy był fakt, że moja pracodawczyni nie oczekiwała ode mnie pracy z żadnym narzędziem CAT. Metodę tłumaczenia mogłam wybrać sama, ważne było tylko, abym oddała przetłumaczony tekst w wyznaczonym terminie, co też zawsze robiłam. Praca w tym biurze była konstruktywnym i niezwykle pozytywnym doświadczeniem. Niestety, fakt, iż zatrudniała mnie bardzo mała firma sprawił, że po zakończeniu stażu pracodawczyni musiała rozwiązać ze mną współpracę, gdyż nie stać jej było na opłacenie kolejnego pracownika. Na pożegnanie podziękowała mi za wspólny czas i podzieliła się praktycznymi uwagami dotyczącymi mojej pracy, które mogą przydać mi się w ewentualnej późniejszej karierze.

Krótką historia przekładu po omacku

Biorąc pod uwagę wszystkie moje problemy wynikające z braku dostępności nowych technologii, zastanawiałam się, jak niewidomi tłumacze radzili sobie w czasach, gdy komputery były jeszcze pieśnią odległej przyszłości. Temat ten wyczerpująco opisał w kilku swoich pracach dr. Wojciech Figiel, wykładowca Instytutu Lingwistyki Stosowanej Uniwersytetu Warszawskiego. Podzielił on mianowicie pracę niewidomych tłumaczy na trzy etapy: okres analogowy, przejściowy i cyfrowy. Okres analogowy trwał mniej więcej do początku lat dziewięćdziesiątych XX wieku. W tym czasie niewidomi tłumacze wykorzystywali właśnie rozwiązania analogowe, takie jak tabliczka czy maszyna brajlowska, czarnodrukowa maszyna do pisania oraz dyktafon. Naturalnie nie można było obejść się wtedy bez pomocy widzącego asystenta, czy raczej lektora, który odczytywał na głos tekst do przetłumaczenia. Niewidomy tłumacz albo tłumaczył tekst na bieżąco albo, gdy urządzenia nagrywające były już w powszechnym użytku, najpierw rejestrował usłyszany tekst na dyktafonie, by potem móc go na spokojnie przetłumaczyć. Przekład sporządzany był na czarnodrukowej maszynie do pisania.[4] Wymagało to od osoby niewidomej sprawnego pisania bezwzrokowego na klawiaturze maszyny, a od lektora, jak przypuszczam, skupienia, uważności oraz pewnych umiejętności językowych. Nie wyobrażam sobie bowiem, aby moi bliscy, nie znający raczej angielskiego bądź posługujący się nim tylko w nieznacznym stopniu, czytali mi w tym języku tekst do przetłumaczenia. Powstałe w takim przypadku błędy byłyby na pewno kolosalne.

W czasach analogowych niewidomi tłumacze zatrudniani byli głównie w spółdzielniach dających pracę osobom niepełnosprawnym czy w innych podobnych instytucjach państwowych.

Sytuacja uległa zmianie w czasie, gdy między 1990 a 2005 r. komputery zaczęły coraz powszechniej wchodzić w życie. Właśnie wtedy rozpoczął się okres przejściowy; niewidomi tłumacze mogli zacząć korzystać z nowoczesnych technologii, co miało zarówno swoje zalety jak i wady. Wydaje się, że dzięki komputerom pomoc osoby widzącej stała się mniej niezbędna, jednak ograniczona dostępność i błędy w rozpoznawaniu tekstu przez przeznaczone do tego oprogramowanie sprawiały, że z asysty tzw. "oka" nie można było całkowicie zrezygnować. Niewidomi tłumacze nie poddawali się jednak; podejmowali pierwsze

próby otwarcia samodzielnej działalności czy też zatrudnienia na wolnym rynku pracy.

Okres cyfrowy trwa od ok. 2005 r. Tłumacze coraz częściej wykorzystują w swojej pracy specjalistyczne oprogramowanie, takie jak wspomniane już narzędzia CAT, o których dostępności, a właściwie jej braku, więcej pisać chyba nie muszę. Stopuje to znacznie tłumaczy z niepełnosprawnością wzroku, którzy usiłują szukać pomocy i wsparcia na własną rękę. Powstała między innymi The Round Table List, mailingowa lista dyskusyjna utworzona przez tłumaczy z dysfunkcją wzroku i poświęcona ich problemom oraz zagadnieniom, które ich dotyczą. Tłumacze z problemami wzrokowymi wciąż prowadzą własną działalność, pracują na umowy zlecenie lub zatrudniają się w prywatnych przedsiębiorstwach, często za niezbyt wielką stawkę.



Wieści z kraju i ze świata

No właśnie, jak to tak naprawdę jest z tą pracą w praktyce? Postanowiłam zbadać temat, rozmawiając z kilkoma osobami wykonującymi zawód tłumacza lub też zainteresowanymi taką pracą. Pierwszą z nich jest Zuzia, absolwentka lingwistyki stosowanej, tak jak ja interesująca się tłumaczeniami. Zwierzyłam się jej z moich nieprzyjemnych przygód związanych z narzędziami CAT. Okazała zrozumienie, twierdząc:

– Tak, sprawa z Tradosem nie jest dla mnie zaskoczeniem. Byłam w podobnej sytuacji pod koniec ubiegłego roku. Dowiedziałam się nawet, że korzystanie z Tradosa jest większą koniecznością niż umiejętność tłumaczenia, bo początkujący stażyści podobno zaczynają od tworzenia lub uzupełniania baz terminologicznych w tym właśnie programie. Zuzia zaznacza też, że sama nigdy nie próbowała korzystać z tego typu oprogramowania, nie uważa się więc za autorytet w tej dziedzinie. W dalszej części rozmowy przeszliśmy do możliwości oferowanych tłumaczom niewidomym, dochodząc do wspólnego wniosku, że jakąś ewentualnością mogłaby być dla nas praca w charakterze tzw. freelancera, czyli osoby szukającej zleceń na własną rękę. Zauważyłam, że nie jestem pewna czy przy moim, co tu ukrywać, wrodzonym lenistwie starczyłoby mi motywacji i wytrwałości do takich poszukiwań. Zuzia zgodziła się ze mną również i w tym przypadku.

– No widzisz – stwierdziła. – U mnie jest jeszcze ta kwestia, że zupełnie nie jestem typem tzw. self-startera. Potrafię pracować sama, ale zawsze motywowały mnie czynniki zewnętrzne. Zresztą nie wiem, czy tylko niewidomi mają problem, o którym piszemy. Dość zdolna

koleżanka z moich studiów miała zamiar zostać tłumaczem pisemnym i zacząć od pracy w biurze. Wszędzie oferowano jej tylko staże, a o posadzie nikt nie chciał słyszeć. Zaczęła więc pracę w korporacji i pewnie zostanie tam na długo.

– A co do biur tłumaczeniowych, – przypomniało mi się – rozmawiałam o tym z moją promotorką, której mąż zajmuje się tłumaczeniami. Powiedziała, że studenci wybierali kierunki tłumaczeniowe licząc na dobrą pracę, a po studiach okazywało się, że jeśli już dostaną jakąkolwiek pracę w zawodzie, to muszą tłumaczyć praktycznie 24 godziny na dobę, aby w miarę przyzwoicie zarobić. Poza tym prawda jest taka, że w przypadku tłumaczeń tekstów czysto urzędowych, człowieka coraz częściej wypiera automatyzacja, bo maszyny robią to już bardzo sprawnie i szybko. Dlatego trudno znaleźć pracę. Pozostają nam jedynie tłumaczenia literackie albo przysięgłe, no ale tam też niełatwo się wkręcić.

– Nie byłabym aż taką optymistką co do maszyn – zauważyła Zuzia. – Oczywiście wiem, na jaką skalę są wykorzystywane, ale jednak co jakiś czas widzę na Facebooku, jakie błędy przechodzą w sytuacjach uchodzących za profesjonalne. Jedną z moich wykładowczyń jest tłumaczem przysięgłym. Opowiadała, że czasem klienci przesyłają jej dokumenty w formie zdjęć, gdzie część tekstu została zastonięta palcami. Sądzę, że w takim przypadku asystent niewidomego tłumacza przysięgłego miałby sporo roboty. Chyba trzeba ogarnąć sobie plan B i tyle. Przynajmniej ja tak to widzę.

Dowodem na to, że maszyny niekoniecznie mogą zastąpić człowieka jest moja kolejna rozmówczyni, Pani Justyna, wykonująca profesjonalne tłumaczenia pisemne.

– Jestem zatrudniona w oparciu o umowę o pracę i pracuję zdalnie w dziale badań i rozwoju w kilkuosobowym zespole. Obecnie pracuję w większości z tekstami specjalistycznymi, czasami są to też maile dotyczące zapytań ofertowych, czasami większe protokoły / konsultacje dla zarządu. Jest to dla mnie nowa branża, więc stale dowiaduję się czegoś nowego. Praca w tej formie jest w moim odczuciu bardzo wygodna, gdyż właściwie ma charakter zadaniowy i mogę pracować w dogodnym dla mnie czasie. Jeżeli zaś chodzi o minusy, to największy dotyczy dostępności tekstów. Zdarzało się, że potrzebowałam przedyskutowania informacji z jakiegoś skanu. W zdecydowanej większości dokumenty są jednak dostępne dla czytelników. Końcowa forma tekstów od strony wizualnej nie stanowi problemu. Zdarza mi się jednak co jakiś czas tłumaczyć na przykład prezentację, do której w ostatnim etapie potrzebny jest wzrok. Generalnie firma, w której jestem zatrudniona, ma już doświadczenie w zatrudnianiu osób z dysfunkcją wzroku, więc brak wzroku nie był barierą i nie stanowi problemu – wyjaśnia Pani Justyna. Na pytanie o inne swoje doświadczenia w zawodzie, odpowiada:

– Co do wcześniejszej pracy, w której byłam zatrudniona na czas określony i która polegała na przekładzie witryny internetowej, to miałam niewielkie problemy techniczne. Była to strona hotelu i nie miałam możliwości samodzielnie wkleić do komórek tłumaczeń obszerniejszych artykułów. iPhone nie radził sobie z edycją na platformie, a Windows radził sobie jedynie z krótszymi tekstami. Nie można było również edytować tych okienek za pomocą myszki na moim komputerze, więc wklejaniem tych długich tekstów zajmował się mój syn na swoim komputerze.

Jak więc widzimy, chociaż technologiczne rozwiązania stale się rozwijają i przynajmniej niektóre z nich stają się dla nas coraz bardziej dostępne, pomoc kogoś widzącego nadal bywa w niektórych sytuacjach niezbędna.

A jak sprawa przedstawia się poza granicami naszej ojczyzny? Dotarłam do Mayi, tłumaczki pochodzenia rosyjskiego mieszkającej obecnie w Stanach Zjednoczonych, która zgodziła się opowiedzieć mi co nieco o swojej pracy.

– Pracuję przez telefon, co jest dla mnie, jako osoby niewidomej, znacznie łatwiejsze. Nie muszę przemieszczać się ani podróżować w różne miejsca – opowiada Maya. – Moja praca jest bardzo przyjemna, wykonuję tłumaczenia ustne dla szpitali, sądów, więzień, urzędów imigracyjnych, banków, firm ubezpieczeniowych, zakładów użyteczności publicznej, firm telekomunikacyjnych i takie tam, sama wiesz. Czasami ludzie bywają nieuprzejmi, ale nie zniechęca mnie to do robienia tego, co robię, na pewno zdobywam duże doświadczenie i mam wgląd w różnorakie sytuacje. Myślę, że wykonywanie pracy przez telefon jest łatwiejsze, nie musisz martwić się brakiem kontaktu wzrokowego z ludźmi. W dodatku pracuję w domu, więc mogę robić, cokolwiek zechcę – leżeć w łóżku, przekąsić coś, usiąść sobie na zewnątrz itd. Nikt nie jest też zakłopotany faktem, że tłumaczka jest niewidoma. Znam jednego faceta, pracuje jako tłumacz kabinowy, nie widzi zbyt dobrze. To naprawdę fantastyczne, jak ludzie pracują w takim trybie. Przypuszczam, że byłoby to bardzo stresujące, no i trzeba naprawdę szybko myśleć. Właśnie dlatego tłumacze kabinowi pracują w parach i zmieniają się co 30, 40 minut. Człowiek, o którym mówię stwierdził, że kiedy już załapiesz, jak to robić, tłumaczenie symultaniczne może być przyjemne.



Spytałam, czy napotkała jakieś problemy podczas ukończonych przez nią studiów językowych.

– Kiedy byłam na studiach, niewiele istniało dostępnych materiałów cyfrowych. Ja i mój tata musieliśmy spędzać długie godziny, skanując podręczniki. Tata był przy tym naprawdę cierpliwy. Musiałam też skanować testy, a także nosić ze sobą w torbie ciężki laptop, akumulator i skaner. Wyglądało to jak torba pełna cegieł – śmieje się Maya. – Ogólnie mówiąc, większość wykładowców starała się dostosować do moich potrzeb, ale oczywiście znaleźli się pewni irytujący i trudni ludzie, którzy zwyczajnie nie zamierzali zaakceptować osoby niewidomej w klasie.

Z podobnymi trudnościami zetknęła się na pewno większość niewidomych studentów również w Polsce, nie były więc one dla mnie zaskoczeniem. Sytuacja i tak znacznie się poprawiła; jestem pełna niedowierzania, słysząc niektóre opowieści moich znajomych kończących studia lata przede mną.

Kontynuując rozmowę, spytałam Mayę, czy miała jakieś kłopoty ze znalezieniem pracy w zawodzie tłumacza.

– Na początku miałam pewne trudności, starając się o pracę – przyznała. – Rekruterka nie miała najmniejszego pojęcia o osobach niewidomych pracujących wcześniej w naszej firmie przez telefon, i przydzieliła mnie do grupy z tymi, którzy wykonują tłumaczenia ustne podczas rozmów video, z zupełnie niedostępnym dla mnie programem. Na szczęście skontaktowałam się z innym działem, który zorganizował dla mnie indywidualne szkolenie. Od tego momentu wszystko szło bardzo sprawnie. Czasami doroczne szkolenie bywa niedostępne, ale personel jest niezwykle pomocny i często daje mi dostępne kopie lub wykonuje grupowe szkolenie przez telefon. Oprócz mnie, pracuje obecnie w tej firmie przynajmniej 10 osób z niepełnosprawnością wzroku. Przyznaję, wzbudziło to mój wielki szacunek do korporacji zatrudniającej Mayę, a także

pewnego rodzaju zazdrość. Nie sądzę, aby w Polsce udało się uzyskać tego typu pomoc. Zwracanie uwagi na potrzeby pracownika z niepełnosprawnością wzroku nie należy, niestety, do częstych przypadków wśród polskich pracodawców.

– A co z samym wykonywaniem twojej pracy? Miałaś jakieś problemy, powiedzmy, ze zrozumieniem rozmówców przez telefon?

– Przez większość czasu nie ma żadnych problemów; sporadycznie występują kłopoty z połączeniem, ale nie zdarza się to nazbyt często. Jeśli ktoś znajduje się w jakimś ośrodku, pracownicy po prostu przełączają telefon w placówce na głośnik i działa to całkiem niezłe

– wyjaśnia Maya. – Nie powiedziałabym, że nie ma w ogóle żadnych problemów. Rozmowy mogą być czasem stresujące, rozmówcy z Rosji często winią za wszystko tłumacza albo mówią: “źle to pani tłumaczy”, tudzież mnóstwo innych zabawnych rzeczy. Nie dalej jak parę godzin temu trafił mi się sędzia, który miał bardzo mocny obcy akcent i mówił naprawdę szybko. Nie potrafił też utrzymać kontroli nad sytuacją, więc wszyscy mówili jednocześnie. Kiedy zwróciłam mu na to uwagę stwierdził:

“To pani, jako tłumacz, musi powstrzymywać innych przed wypowiedaniem się w tym samym czasie”. A przecież nie na tym polega moja praca. Tłumacz ustny często robi za worek treningowy. Słowo pisane, przynajmniej, nie może winić cię, jeśli popełnisz błąd.

– No właśnie, a czy kiedykolwiek zdarzyło ci się wykonywać tłumaczenia pisemne?

– Nie za często... Pracowałam trochę w branży lokalizacyjnej, tłumaczyłam też instrukcje obsługi technologii wspomagających, kilka krótkich paragrafów, jednak nie musiałam się martwić o edycję tekstu. Próbowiałam szukać pracy jako freelancer, ale zlecenia albo

przechodziły mi koło nosa zanim zdążyłam cokolwiek zrobić albo były jakąś podpuchą, która nigdy nie została doprowadzona do końca.

Po chwili Maya dodaje:

– Uważam, że dzisiejszy nowoczesny tłumacz pisemny musi też umieć edytować teksty, a formatowanie zawsze było moją słabą stroną; nigdy tak naprawdę nie nauczyłam się, jak to robić.

Przyznaję, kwestia formatowania tekstów jest wyjątkowo trudna do przeskoczenia dla osoby całkowicie niewidomej. W dalszej rozmowie stwierdziłam, że w Polsce nie ma zbyt wielu niewidomych zajmujących się tłumaczeniami na piśmie.

– Zgadza się, dokładnie tak samo jest w Rosji.

Bardzo niewiele niewidomych tłumaczy – odparła Maya. – Wiem, że pewna kobieta ma biuro tłumaczeniowe w St. Petersburgu, a jedna z moich koleżanek zajmowała się kiedyś przekładem literackim dla jakiegoś wydawnictwa, ale teraz jest już tym zmęczona.

– Ooo, przekład literacki! – zawołałam z zachwytem. – To bardzo interesujące! Też bym chciała tłumaczyć literaturę, zawsze o tym marzyłam.

– Też tak sądzę – zgodziła się. – Niestety, wydawnictwa mają bardzo napięte terminy, a koleżanka wspominała, że czasem dostawała do przetłumaczenia beznadziejne książki. Do tego myślę, że w wydawnictwach często wymagają od tłumacza zachowywania właściwego formatu tekstu, co, jak wiesz, jest bardzo zdradliwe.

Na koniec przeszliśmy do tematu oprogramowania wspomagającego pracę tłumacza.

– W dzisiejszych czasach większość biur tłumaczeniowych bazuje na narzędziach



Zdjęcia: CoxinhaFotos, olilyluch, AntonioDiaz, DaModernDaVinci, vegefox.com, Anze, pathdoc

CAT, które w większości są niedostępne – przyznała Maya. – To kolejne wyzwanie dla ślepych ludzi. Znam niepełnosprawne wzrokowo osoby, które używają takich narzędzi, program Fluency jest zdatny do użytku, ale tu moja wiedza się niestety kończy. Nigdy nie pracowałam na tego typu oprogramowaniu. – Ze mną jest podobnie – wyjaśniłam, po czym opowiedziałam o swoim niemiłym doświadczeniu, na co ona westchnęła: – To przykre. Zbyt wiele razy bywałam w sytuacjach, gdy pracodawca nie zamierzał być elastyczny. Częściej niż rzadziej oprogramowanie używane przez firmy okaże się niedostępne; musisz po prostu próbować, i nie będzie to łatwe.

Jak zatem możemy się wytłumaczyć?

Opisałam w tym artykule kilka własnych i cudzych przygód, tych pozytywnych oraz tych zakończonych mniej szczęśliwie. Podsumowując zebrane opinie i doświadczenia stwierdzam,

że niewidomi mogą, i owszem, zostać tłumaczami. Jak wiele innych spraw w naszym życiu, wiąże się to z pewnymi przeszkodami, nie chcę jednak zniechęcać nikogo do tego niewątpliwie ogromnie ciekawego zawodu. Istotną kwestią jest dobór rodzaju, charakteru i metod pracy, jakie będą odpowiadać nam najbardziej. Nie należy też zapominać o miejscu, w jakim możemy zostać zatrudnieni; zauważmy, że obydwie tłumaczki, z którymi rozmawiałam, znalazły pracę w firmach mających już wcześniejsze doświadczenie w zatrudnianiu osób z niepełnosprawnością wzroku, ja z kolei najlepiej czułam się w małym, niekomercyjnym biurze tłumaczeniowym. Wielkie korporacje, póki co, chyba niechętnie widzą nas w swoich szeregach. Warto także zaznaczyć, że nie każdy niewidomy uzdolniony językowo nadaje się do zawodu tłumacza. Potrzeba wielu rozmaitych umiejętności i cech osobowości, aby zostać dobrym tłumaczem, musimy więc szczerze zadać samym sobie pytanie, czy i na ile widzimy się w tej roli.

Michał Kasperczak



Sonos – najlepsze głośniki bezprzewodowe

Sonos to amerykańska marka tzw. głośników strefowych. Słyną one z dobrej jakości dźwięku oraz ładnego, solidnego i minimalistycznego wykonania.

W zamierzeniu producenta, nasz dom może zostać zaopatrzone w szereg głośników, poustawianych w różnych miejscach. Wtedy muzyka może być odtwarzana w całym domu i to w sposób, który najbardziej nam odpowiada. Możemy więc słuchać tego samego radia i płyty ze wszystkich głośników rozmieszczonych w różnych pokojach, ale możemy też sprawić, że każdy z nich będzie odtwarzał coś innego. Wszystkim steruje

aplikacja. To dzięki niej: łączymy głośniki z siecią bezprzewodową, konfigurujemy i dostrajamy każdy z nich, dodajemy poszczególne serwisy i ustawiamy, co, gdzie i kiedy ma grać.

Generalnie korzystamy potem z aplikacji Sonos i Spotify Connect. Możemy też wysyłać dźwięk poprzez AirPlay, a w niektórych przypadkach skorzystać również z Bluetootha.

Od dobrych kilku lat marka Sonos obecna jest również w Polsce. Chętni mogą kupić na stronie Sonos wybrany głośnik, a do tego mają możliwość zwrotu sprzętu przez nawet 3 miesiące. Mogą Sonosy oczywiście kupić też (już z normalnymi warunkami zwrotu), na Allegro, w innych sklepach. Jednym z czołowych polskich dystrybutorów Sonos są Salony Audio (Audio-Video Design).

Trochę historii

Czterej założyciele, John MacFarlane, Tom Cullen, Trung Mai oraz Craig Shelburne, stworzyli śmiałą wizję, opartą na technologii, która w tym czasie próbowała dopiero zaistnieć. Wprowadzenie muzyki do każdego domu: bezprzewodowo, w wielu pomieszczeniach, z komputerów PC i Internetu, z rewelacyjnym dźwiękiem to marzenie, wydawałoby się, nie do zrealizowania. .

Pierwszą propozycją Johna dla trzech partnerów był biznes w branży lotniczej. Wpadł na pomysł udostępnienia samolotom sieci lokalnych (lub LAN), które zapewniałyby usługi internetowe pasażerom. Ta koncepcja nie spotkała się z tak wielkim entuzjazmem, jakiego życzyłby sobie John, więc nastąpił powrót do punktu wyjścia. Wizja była prosta: umożliwić miłośnikom muzyki odtwarzanie dowolnych utworów w dowolnym miejscu w domu.

Na drodze do osiągnięcia celu w 2002 roku stał jednak jeden problem: w tym czasie praktycznie cała potrzebna do wykonania tego zadania technologia jeszcze nie istniała.

Gdy firma Napster zaliczała wzloty i upadki jako medium oferujące wyszukiwanie muzyki przez Internet i odtwarzanie jej na komputerze osobistym, muzyka cyfrowa ciągle stanowiła nowość, a koncepcja strumieniowego przesyłania muzyki bezpośrednio z Internetu wydawała się nieprawdopodobna. Konfiguracja musiała być szybka i intuicyjna dla każdego użytkownika, powinna dobrze integrować się z dowolną technologią lub usługą oraz zapewniać doskonałej jakości dźwięk w każdym pomieszczeniu.

Integracja różnych technologii wymusiła wybranie jako platformy technologicznej systemu Linux, jednak w tamtym czasie do Linuxa nie było dostępnych sterowników



audio, sterowników przycisków pilota i kółek przewijania, ani sterowników sieciowych. Zespół Sonos podjął się zadania ich stworzenia. Ostatecznie opracowany został proces zwany delegowaniem. Umożliwiał bezprzewodowe przesyłanie muzyki do wielu pomieszczeń — do jednego głośnika lub do wszystkich głośników — bez żadnych przerw. Później rozwiązanie to stało się kluczową technologią opatentowaną przez Sonos. Wraz z nowatorskim podejściem, które polegało na dodawaniu znaczników czasu do cyfrowych fragmentów utworów odtwarzanych przez pakiety dźwiękowe, sprawiła, że muzyka odtwarzana przez system Sonos praktycznie zawsze jest zsynchronizowana. Użytkownicy mogą z łatwością łączyć i rozłączać pomieszczenia, a także przesyłać dźwięk do i z dowolnego pomieszczenia w domu. Wreszcie, 27 stycznia 2005 roku, na rynek trafił pierwszy produkt Sonos — ZP100. Wkrótce pojawiły się branżowe pochwały, pozytywne recenzje produktów i publikacje w mediach, które utrzymały się przez pierwsze miesiące



i lata od premiery na rynku. Recenzenci chwalili prostotę konfiguracji, projekt, niezawodność i wspaniałą dźwięk.

Firma Sonos opracowała procesy wczesnego testowania swoich produktów i analizowania informacji zwrotnych we współpracy ze społecznością twórców, między innymi producentów, muzyków i kompozytorów. Wraz z premierą oprogramowania Trueplay w 2015 roku producent Rick Rubin stał się liderem zespołu doradców, których zadaniem było uwzględnianie opinii artystów już od samego początku procesu rozwoju produktów. Systemy drugiej i trzeciej generacji to próba przesyłania strumieniowego bezpośrednio do odtwarzaczy, z całkowitym pominięciem komputerów.

Dostępne głośniki Sonos

Sonos ma w swojej ofercie różne grupy głośników i dwa soundbary. Nie warto już myśleć o starej serii Sonos Play, bo nie jest już

wspierana. Natomiast wartę uwagi są wszystkie pozostałe: Sonos Symfonisk WiFi, Sonos Roam, Sonos One i SL, Sonos Move i Sonos Five.

Sonos i Ikea – Symfonisk

Najtańszym z Sonosów jest Symfonisk.

To nowa mini marka, obecna od niedawna, za sprawą współpracy firm Sonos oraz Ikea. Sonos zapewnia tu niezły dźwięk, natomiast Ikea dba o design. Dzięki temu powstał głośnik w formie niewielkiej półki, lampki, a ostatnio również ramki do powieszenia na ścianę. Cena półki i lampki około 500-600 zł. Ramka kosztuje tyle samo, ile Sonos Roam, czyli 799 zł. Można sobie zadać pytanie, co z jakością audio. Jest niezłe, ale na pewno im droższy, ale też większy Sonos, tym lepiej. W sumie trudno się temu dziwić. To normalna prawidłowość. Ale też zależy, kto czego potrzebuje i na co sobie może pozwolić, uwzględniający warunki finansowe i przestrzenne.

Sonos Roam

Sonos kojarzył się zawsze, nie bez racji, z głośnikami stacjonarnymi i podłączanymi do prądu. Na szczęście od pewnego czasu Sonos ma coś w ofercie dla tych, którzy chcieliby się przemieszczać z urządzeniem. Sonos Roam to zupełnie nowy głośnik w portfolio producenta. Jest dostępny w sprzedaży od kwietnia za 799 zł głośnik. To nieduże urządzenie, trochę podobne do JBL Link Portable, tylko zupełnie inne w dotyku. To głośnik, który łączy wszystkie najlepsze technologie, tzn.: Bluetooth, obsługę AirPlay przez Wi-Fi i oczywiście działa w systemie Sonos.

Roam ma trójkątną podstawę, plastikowy tył, a przód to dosyć wąska i zaokrąglona bardzo sztywna maskownica, mocno wypełniająca przestrzeń. Na przeciwległym boku głośnika, znajdziemy mocno wpasowane w obudowę gniazdo USB C, a nad nim przycisk parowania, włączania i wyłączania głośnika.

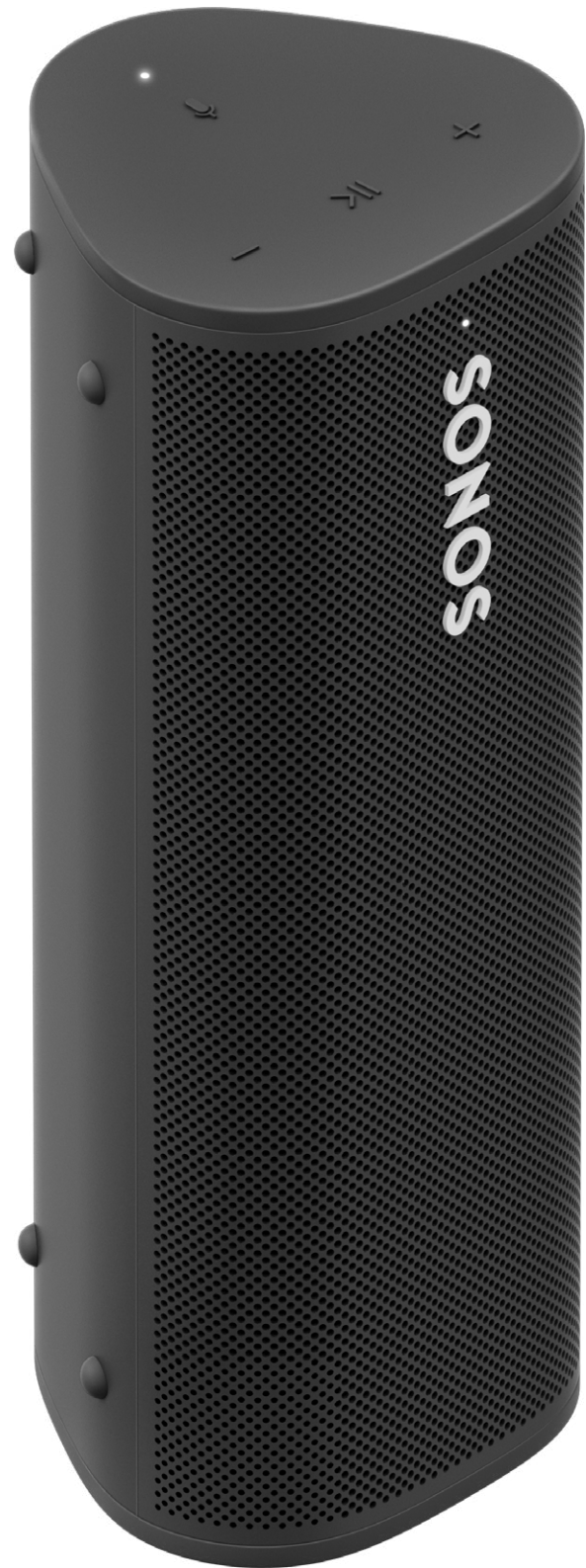
Jego wymiary przedstawiają się następująco: 168 x 62 x 60 mm. Waga 430 g, stopień ochrony IP67.

Port USB USB-C, Wi-Fi, Bluetooth, akumulator 18 Wh – do 10 godzin. W zestawie brak ładowarki, jedynie kabel USB C z wtyczką dopasowaną i niewystającą z głośnika. Roam jest na tyle mały i dobrze wyprofilowany, że mimo braku specjalnego uchwytu, bez trudu weźmiemy go do ręki. Można też do niego dokupić za 199 zł magnetyczną ładowarkę indukcyjną (zgodną ze standardem Qi), która ułatwi ładowanie głośnika.

Sonos Roam posiada gumowe fizyczne przyciski, co akurat w Sonosach jest wyjątkiem. Bez trudu je zlokalizujemy. Nie ma też obaw o ich przypadkowe wciśnięcie. Są to: Play/Pauza – przełączanie utworów – na środku (podobnie

jak w produktach Apple i innych), przyciski głośności po bokach i przycisk włączania/wyłączania mikrofonu u góry.

Do tego – jak w każdym Sonosie – ich przyciskanie, generuje charakterystyczne delikatne sygnały dźwiękowe.





Wyłączenie i włączenie głośnika następuje poprzez długie kilkusekundowe przytrzymanie podłużnego przycisku umieszczonego z tyłu urządzenia. Przytrzymanie przycisku przez około 2 sek. wprowadza go w tryb parowania z urządzeniami Bluetooth. Służy też do wybudzania głośnika z trybu uśpienia. Wróćmy jeszcze na chwilę do środkowego przycisku – Play/Pauza. W przenośnych głośnikach Sonos, jego dłuższe przytrzymanie powoduje, że dołącza się on do grającej już grupy głośników i odtwarza to, co pozostałe. Natomiast jeszcze dłuższe przytrzymanie powoduje, że muzyka z innych Sonosów przetacza się jedynie na przenośny Sonos Roam. Funkcja ta nazywa się Sound Swap. Istotną, a zarazem charakterystyczną cechą przenośnych głośników Sonos, jest automatyczna funkcja True Play – w skrócie Auto True Play. Można ją włączyć lub wyłączyć z aplikacji (zdecydowanie proponuję zostawić włączoną), która sprawia, że na podstawie

badania otoczenia, głośnik dostosowuje dźwięk do swojego położenia i warunków akustycznych.

Dźwięk, jak na tak małe urządzenie, jest bardzo dobry. Urządzenie ładnie eksponuje ludzkie głosy, gra czysto, przyjemnie, nawet ma sporo basu, choć im głośniej, tym gra gorzej. Warto też posłużyć się rozbudowanymi opcjami korektora oraz włączyć wzmocnienie niskich tonów.

Warto też poprobać z ustawieniem głośnika. W pozycji poziomej (wtedy z lewej strony mamy przyciski obsługi), głośnik prezentuje troszkę szerszą scenę dźwiękową. Warto też sprawdzić, gdzie Roam gra najlepiej, na środku, czy może w rogu biurka, na półce pustej, zabudowanej itp.

Sonos One i Sonos One SL

Najbardziej reprezentatywnym i chyba też najlepszym, gdyby wziąć pod uwagę cenę, jakość i możliwości, jest Sonos One, a mówiąc

precyzyjniej – Sonos One gen. 2. To ważne, bo zyskujemy nowe funkcje, rozwój, dłuższe wsparcie i żywotność urządzenia. Za około 900-1000 zł dostajemy stosunkowo niewielki głośnik, który gra zaskakująco dobrze, i, jeżeli ktoś sobie tego życzy, też głośno. Jego wymiary: 120 cm – wysokość, 161,45 mm – szerokość, 120 cm – głębokość, waga – 1,85 kg. Podstawowe sterowanie uzyskać można z poziomu głośnika (przyciski – sensory dotykowe). To trochę minus w stosunku do dawnej serii Sonos Play, ale co zrobić. Dobrze, że da się tych przycisków w miarę używać, chociaż nie należy to do przyjemności. AirPlay działa bardzo dobrze, ale to nie nowość. Dźwięk trudno mi opisywać. Na pewno trochę podbity, cyfrowy, ale za razem ciepły, przyjemny i na wszystkich robi bardzo dobre



wrażenie. To zresztą nie tylko moja opinia. Niemal wszyscy testerzy ujmują to podobnie. Zakup kolejnego podobnego głośnika to już niezłe system mini stereo.

O obecności głosowego asystenta Google w głośniku Sonos One napiszę więcej w osobnym pod punkcie. Okazuje się, że dosyć prosto można go aktywować.

Wersja Sonos One SL różni się od Sonos One brakiem mikrofonów, a tym samym możliwości sterowania głosowego.

Dodam jeszcze, że poza łącznością Wi-Fi, można tego akurat Sonosa połączyć z siecią poprzez kabel i port Ethernet.

Ciągle jednak mówimy o głośnikach podłączanych do prądu, a więc o rozwiązaniu mimo wszystko raczej stacjonarnym. A co, gdy chcielibyśmy wyjść na zewnątrz, albo częściej przenosić głośnik? I na to Sonos znalazł w końcu pomysł.

Sonos Move

Jest to głośnik wysokiej klasy, ciekawy, stacjonarny, a za razem mobilny. Gdy pojawił się dwa lata temu, był pozycjonowany jako pierwszy mobilny głośnik Bluetooth i Wi-Fi w portfolio Sonosa. Trudno zaprzeczyć, że tak nie jest, ale też niełatwo pogodzić się z nazywaniem głośnika, który waży 3 kg, sprzętem w pełni przenośnym. Mimo że oczywiście jest to możliwe i że wbudowany uchwyt bardzo tę sprawę ułatwia.

Sonos Move jest trochę podobny do Sonosa One. Z tyłu, co jest pewną nowością, posiada jeszcze osobny przycisk przełączający pomiędzy Wi-Fi a Bluetoothem. Również ma dotykowe sensory tylko że trochę inaczej rozmieszczone niż w One. Gra też od niego mocniej, dynamiczniej i ogólnie lepiej. Move posiada nieco mniejszy niż Roam stopień

ochrony IP66 przed dostępem wody i pyłu. I pewnie dlatego właśnie producent nie zaleca pozostawiać go na zewnątrz podczas ulewy. Jego wymiary to: 240 x 160 x 126 mm. Akumulator zapewnia 10 godz. działania bez prądu, choć oczywiście, w przypadku głośniejszego słuchania, czas ten znacznie się skraca. W komplecie z Sonosem Move dostajemy stację dokującą, przeznaczoną do ładowania, na której możemy postawić głośnik.

Sonos Five

Five – duży głośnik, swoim wyglądem i budową przypominający już kolumny podstawkowe jest najdroższym z głośników Sonos. . Jego wymiary: 36,4 X 20,3 X 15,4

To propozycja znowu tylko stacjonarna i skierowana raczej do kogoś, kto myśli nad zamianą, albo skompletowaniem sobie większego systemu Hi-fi i nie chce już mieć w domu

klasycznego amplitunera, wzmacniacza itp. Słyszałem i oglądałem go jedynie w sklepie, ale trudno na takiej podstawie wyrobić sobie jakieś swoje zdanie. Bez wątplenia



to porządnie wykonany i dobry sprzęt, chociaż można się zastanawiać, czy w cenie 2500 zł (1 głośnik) i 5000 (dwa) nie zyskamy czegoś bardziej wszechstronnego i funkcjonalnego. Owszem, zyskujemy łatwość podłączenia i ustawienia sprzętu, dostęp do ekosystemu Sonos i świetną jakość dźwięku. Gdybyśmy jednak zdecydowali się na jakiś amplituner i kolumny głośnikowe, zyskujemy pilota, więcej portów i lepsze brzmienie. Coś za coś. Myśląc o amplitunerze, chyba nie polecałbym Sonosa Amp. Zbiera różne, niekoniecznie najlepsze recenzje, nie ma pilota i obsługiwany jest tak jak pozostały Sonosy.

W tym momencie pozwolę sobie zrobić wyjątek i zacytuję producenta, jako że sam nic więcej na temat Five już nie napiszę. Sonos to:

- trzy głośniki średniotonowe zapewniają wierne odtwarzanie częstotliwości wokalnych oraz bogaty bas bez zniekształceń, nawet przy dużej głośności
- trzy głośniki wysokotonowe, w tym jeden środkowy i dwa boczne głośniki wysokotonowe, ustawione pod precyzyjnie dobranym kątem, zapewniają wyraźne pasmo przenoszenia wysokich częstotliwości
- układ fazowy tworzy szeroką scenę dźwiękową z brzmieniem stereofonicznym oraz dźwiękiem dobiegającym z lewej, prawej i ze środka
- analogowe wejście liniowe w formie gniazda jack 3,5 mm umożliwia podłączenie innego urządzenia
- oprogramowanie Trueplay™ dynamicznie dopasowuje głośnik do wyjątkowej akustyki pomieszczenia. Wymaga urządzenia z systemem iOS
- regulowane ustawienia korektora graficznego (EQ) w aplikacji, w tym basy, tony wysokie i głośność.



Sonos i Google Assistant

Na dzień dzisiejszy oficjalnie nie można uruchomić Asystenta Google na głośnikach Sonos. Na przeszkodzie stoją tu niestety ograniczenia samego Google'a, który już dwa lata temu obiecał rozszerzenie działania Asystenta Google na inne regiony i języki, niż te podstawowe i jak na razie z deklaracji się nie wywiązuje. Dobrą wiadomość mam taką, że bardzo prosto i bezpiecznie można to obejść. W tym celu wystarczy przestawić region w profilu na koncie Sonos, po czym w aplikacji dodać Asystenta Google. Wielce prawdopodobne, że operacja zakończy się sukcesem, choć działa to różnie. A próbowałem kilkanaście razy. Wina chyba w aplikacji Google Assistant, bo to tym razem w niej, a nie Google Home, autoryzujemy głośnik. Dodam jeszcze, że z poziomu Google Home, możemy dodać Sonos jako głośnik domowy, czyli taki, na którym potem coś może zostać odtworzone.

Doprecyzuję przy tej okazji, że wsparcie dla Google Assistant nie oznacza możliwości obsługi technologii Google Cast (potocznie Chromecast). Warto o tym pamiętać.

Nie próbowałem z Amazon Alexa, ale można i zapewne w podobny sposób, jak powyżej. Choć tam – zdaje się – może być konieczna zmiana języka interfejsu iOS do poprawnego wykrycia regionu i głośnika przez aplikację na Apple'owskich urządzeniach.

Aplikacja Sonos

Aplikacja Sonos S2 konieczna jest do aktywacji i konfiguracji każdego z głośników. Może się poszczycić obsługą kilkudziesięciu różnych (czasem szerzej nieznanymi) serwisów – usług multimedialnych. Mamy więc dostęp do Spotify, Tidal, Dezeera, Amazon Music, a nawet Apple Music. Ta ostatnia usługa, choć bardzo powoli się otwiera na inne systemy muzyczne, stanowi wyjątek, działając od dawna w Sonosach. Sonosa możemy też podłączyć do SoundClouda,



MixClouda, BandCamp, katalogów stacji radiowych (Tunein, MyTuner, IHeartRadio) i innych.

Z całkiem dostępnego interfejsu aplikacji Sonos, możemy odtwarzać płyty ze streamingów, tworzyć playlisty dostępne w obrębie aplikacji, złożone z utworów obecnych w rozmaitych serwisach (część np. ze Spotify, druga część z Tidalu itd.). Wszystko odtwarzane jest potem przy udziale serwerów Sonos, trochę podobnie, jak to ma miejsce w przypadku Spotify Connect. Zapobiega to szybkiemu rozładowywaniu się telefonu i pozostawia funkcję AirPlay na inne okazje.

Co więcej, dzięki aplikacji dla systemów Windows i Mac, można swoje własne pliki przesać do systemu Sonos.

Istnieje opinia, że aplikacja Sonos działa o wiele lepiej w systemie iOS, niż Android. Nie mogę tego stwierdzić z racji braku urządzenia z tym systemem. Opiszę trochę jej interfejs w systemie iOS.

Aplikacja składa się z 5 kart: Mój Sonos, Przeglądaj, System, Szukaj i Ustawienia. Karta „Mój Sonos” zawiera powiadomienia o nieprzeczytanych wiadomościach oraz (zależnie od ustawień) listę najczęściej używanych usług wraz z ich zawartością. Są to: wybrane stacje radiowe, playlisty, odtwarzane

płyty itp. Nawigacja po tej liście nie jest zbyt intuicyjna, choć wydaje się dostępna. Fokus VoiceOvera czasem zmienia swoje położenie i odczytywane są niekoniecznie te informacje, których byśmy oczekiwali.

Zakładka „Przeglądaj” pokazuje dodane usługi i wyświetla ostatnio odtwarzane w ich ramach media: np. płyty ze Spotify, playlisty z SoundClouda itp.

Zakładka „System” pozwala dopasować i zmienić priorytet odtwarzania, co i gdzie ma grać w poszczególnych grupach głośników, czy każdy ma grać oddzielnie, czy wszystkie na raz. Istotna zakładka, ale wówczas, kiedy mamy do dyspozycji więcej niż jeden głośnik. Wtedy z pewnością częściej będziemy z niej korzystać. Tam również możemy ustawić alarmy, czyli sprawić, że cyklicznie albo jednorazowo, o określonej godzinie będzie się uaktywniał głośnik z określoną playlistą lub stacją radiową. Wyszukiwanie działa bardzo dobrze. Jedno zapytanie zwraca wynik ze wszystkich usług podpiętych do systemu Sonos oraz zapisanych na nim plików. To znaczy, że możemy otrzymać określoną muzykę dostępną na Spotify, Apple Music, Tidalu, w naszym koncie Sonos i każdy znaleziony wynik możemy odtworzyć, dodać do kolejki, dodać do systemu Sonos, a może stworzyć playlistę.

Z kolei Ustawienia to szereg opcji związanych z konfiguracją sprzętu, dodawaniem usług, sprawdzaniem sieci i oprogramowania... Zupełnie na dole z prawej strony, gdy przesuniemy palec za ostatnią zakładkę, wyświetlane są informacje o stanie naładowania akumulatora i aktywności określonego głośnika. Pojawia się też tam źródło odtwarzania i przycisk play/— . Kliknięcie w nazwę głośnika otwiera podręczne okienko



z odtwarzaczem, możliwością zmiany głośności i sprawdzeniem kolejki odtwarzania. Muszę powiedzieć, że z aplikacji Sonos korzysta się na ogół bardzo przyjemnie. Ma ona niestety jedną dosyć dokuczliwą wadę. Mianowicie jest wrażliwa na niestabilność sieci internetowej. Objawia się to potem komunikatami o braku połączenia internetowego oraz propozycją sprawdzenia, czy jesteśmy przyłączeni do prawidłowej sieci.

Na koniec

Nie da się wyczerpująco i szczegółowo napisać o wszystkim. Zachęcam do odsłuchania podcastu na łamach serwisu Tyflopodcast, gdzie wraz z Radkiem Morawskim omawialiśmy system Sonos, który nam się podoba. Czy to jedyna taka możliwość? Pewnie nie, ale jedna z najlepszych i z najbardziej dostępnych. Inne systemy Multiroom (Bose, Yamaha) mogą, ale nie muszą mieć dobrze działającej

aplikacji oraz sposobu obsługi głośnika. Zresztą sygnalizowałem te kwestie w poprzednim artykule. Na koniec skrótowe zestawienie głośników i cen, tak jak to proponuje producent na swoich stronach.

W skrócie:

Sonos Roam – 799,00 zł

One SL – 860,00 zł

One – 999,00 PLN – do każdego pomieszczenia
Move – 1 699,00 PLN – do dźwięku, gdzie zechcesz

Five – 2 499,00 PLN – do wysokiej wierności odtwarzania

Port – 1 899,00 PLN – do tradycyjnych systemów stereo

Amp – 2 990,00 PLN – klasyczny wzmacniacz stereo

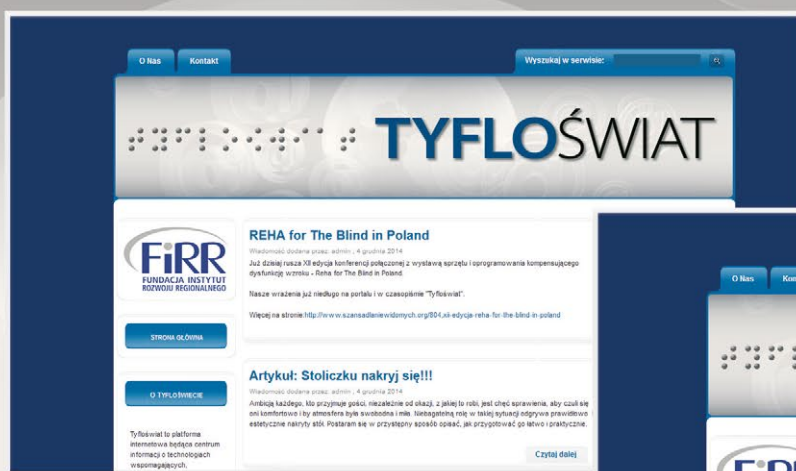
Beam za 1 899,00 PLN – do mniejszych telewizorów

Arc – 3 899,00 PLN – do dużych telewizorów

Zobacz nas

w Internecie

www.tyfloswiat.pl



W portalu:

- informacje o producentach i dystrybutorach,
- testy i opinie o produktach,
- informacje prawne,
- baza szkoleń dostosowanych do potrzeb osób z dysfunkcją wzroku,
- wydarzenia, konferencje, imprezy

... i wiele wiele innych informacji!